

LINDA BARLOW

Żona dla myśliwego

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wrześniowa noc upajała wszechogarniającym czarem. Okrągła tarcza księżycy srebrzyście przeświecała przez skłębione chmury, a gorące, wilgotne powietrze było przesycone intensywną i słodką wonią polnych kwiatów i igliwia. Mrok rozświetlały rozbłyskujące iskierki tańczących świetlików, w ciemności wibrowała miarowa, pulsująca muzyka świerszczy. Mocny zapach ziemi, roztrącanej kopytami cwałującego wierzchowca, mieszał się z bogactwem aromatów zwiastujących rychły koniec lata.

Z wiatrem niosły się jakieś dalekie, ledwie słyszalne dźwięki. Ktoś śpiewał w oddali. Niewyraźne tony dochodziły gdzieś z głębi lasu rozciągającego się w pobliżu jaru, będącego granicą między ziemią Skye'a Rawlinsa a ziemią dziadka Holly.

Wiedział, że tu ją znajdzie. Właściwie nic w tym dziwnego, pomyślał. Od stuleci takie miejsca miały w sobie coś mistycznego i magicznego, stwarzały najlepszą scenerię dla czarów i tajemnych rytuałów odprawianych przez wiedźmy i uzdrowicieli. To doskonale pasowało do wnuczki Toma MacLeisha, która parę miesięcy temu przyjechała tu, do Whittier w Montanie, by pielęgnować chorego dziadka. Holly MacLeish przybyła z Sedony, miasteczka w Arizonie, uchodzącego za Mekkę nawiedzonych wyznawców filozofii New Age. Bez reszty poświęciła się ziołom i ich uzdrawiającym właściwościom. Nie minął nawet miesiąc od jej osiedlenia się tutaj, a już w miasteczku pojawiły się ogłoszenia o organizowanych przez nią kursach i spotkaniach na temat medycyny naturalnej, powrotu do źródeł i tym podobnym bzdurom.

Większość mieszkańców Whittier przeszła nad tym do porządku. Tu, na Zachodzie, sprawy toczyły się własnym życiem i ludzie nie byli zbyt dociekliwi, choć z drugiej strony przybyszom nie tak łatwo było pozyskać ich zaufanie. Skye świetnie wiedział, że minie sporo czasu, nim przekonają się do zielarskich praktyk Holly. W każdym razie jej dziadkowi zioła nie na wiele się zdały. Gdyby było inaczej, nie miałby teraz przed sobą tej przykrej misji.

- Spokojnie, koniku - łagodnie przemówił do Diabła, kierując go w stronę gęstniejących zarośli.

Ściągnięty za cugle koń przeszedł w kłus. Obaj, i on, i zwierzę, doskonale znali ten teren. Polował tu od czasów, kiedy przestał być dzieckiem, ale w ciemności łatwo było poślizgnąć się czy zawadzić o jakąś gałąź.

Między drzewami majaczył słaby blask ognia. Odgłos śpiewanych pieśni dochodził coraz wyraźniej.

Jakiś czysty, jasny głos intonował melodię, reszta dołączała do niego. W tym śpiewie nie było nic złowieszczonego, ale Skye poczuł ciarki na plecach. Miał nieodparte wrażenie, że to wszystko, ta noc przy pełni księżyca i skupione przy ogniu kobiety, jest czymś dziwnie obcym i pierwotnym.

- Miejmy nadzieję, że nic nam nie zrobią - powiedział Skye do Diabła. - Nie mam zielonego pojęcia, o co w tym chodzi, ale mógłbym się założyć, że te kobiety wcale nie marzą o męskim towarzystwie.

Posuwali się coraz wolniej. Skye starał się wyłowić słowa śpiewanej przez kobiety pieśni. Coś o drzewach, kwiatach, korzeniach. Pięknie natury i jej darach.

Zupełnie nieszkodliwe, pomyślał. Plotki krążące po mieście głosiły, że Holly MacLeish i jej zwolenniczki przywołują pogańskie bóstwa, które tysiące lat temu zamieszkiwały lasy.

- One czczą diabła, szeryfie - upierał się stary Galleger. - Musi pan coś z tym zrobić, Skye.

Nie potrzeba nam tu żadnych czarownic i satanistów.

- Spokojnie, Roy - łagodził Skye. - Jesteśmy w Whittier, nie w Salem.

Zatrzymał konia. Przez dzielące go zarośla wyraźnie widział stojące przy obłożonym kamieniami ognisku kobiety. Otaczały je kręgiem. Wszystkie były w dzinsach i bawełnianych podkoszulkach, tylko jedna z nich miała na sobie prostą białą bluzkę i wielobarwną, sięgającą kostek spódnicę.

Holly MacLeish. Kobieta, która go intrygowała.

Która zupełnie go zauroczyła. Kobieta, która pozwalała mu podziwiać się tylko z oddali.

Rozpuszczone kruczoczarne włosy spadały jej na plecy. Miała piękną twarz o delikatnych rysach, leciutko zadarty nos i coś w układzie policzków, co świadczyło o skłonności do uporu. Szczupła, zgrabna figura, wysportowana, jednak bardzo kobieca. Poblaskujący złotem pas podkreślał jej wąską talię. Na rękę miała podobną do pasa bransoletę.

Była boso, tak jak inne kobiety stojące wokół ognia.

Najwidoczniej wcale nie obawiały się występujących tutaj bardzo często parzących pnączy. Pewnie przemówiły do tych roślin i ubłagały, by zostawiły je w spokoju, pomyślał z ironią Skye.

Pieśń dobiegła końca.

- Bądźcie błogosławione - rozległ się spokojny, miękki głos prowadzącej ceremonię. - Teraz chciałabym, żeby każda z was po kolei opowiedziała o uzdrawiających właściwościach swojej wybranej rośliny.

Mówcie tak, jakbyście to wy były tą rośliną. Dzięki temu wzmocni się więź z waszą roślinną siostrą, utożsamicie się z nią. Moira, ty już wcześniej brałaś udział w takim spotkaniu. Może zacniemy od ciebie?

Postawna rudowłosa kobieta stojąca po prawej stronie Holly przymknęła oczy.

- Nazywam się bylica pospolita - zaczęła śpiewnie - ale bardziej podoba mi się moja łacińska nazwa Artemisia, jaką otrzymałam na cześć bogini księżyca, Artemidy. Jestem cudownym ziołem, znanym i stosowanym od tysięcy lat. Rosnę na polach i w nasłonecznionych miejscach. Mam pierzaste liście, srebrzysto-szare pod spodem, i kwiaty w kształcie maleńkich zielonych koszyczków. Dzięki moim przeciwzapalnym właściwościom niosę ulgę cierpiącym w czasie miesiączki kobietom. Włożona nocą pod poduszkę przynoszę dobre i prorocze sny.

Co za bzdury, pomyślał Skye.

- Ja jestem ziołem dziurawca - rozpoczęła przemowę kolejna kobieta. Pozostałe, wzięwszy się za ręce, przysłuchiwały się jej uważnie, kołysząc się w rytm słów. - Moje żółte, przypominające gwiazdy kwiaty latem rozjaśniają łąki. Jeśli mnie zerwiesz, twoje dłonie się zaczerwienią, ale moje kwiaty koją oparzenia...

Skye przestał słuchać. Zapatrzył się na prowadzącą ceremonię Holly. Delikatnie chwycił konia za cugle, podjechał nieco bliżej.

Teraz lepiej mógł widzieć jej twarz, pełne usta, ogromne, rozświetlone oczy. Starał się zapamiętać każdy szczegół, utrwalić w pamięci jej obraz, nim wyrwie ją z tego dziwnego zaszuchania; zachować ją tak, jak wyglądała właśnie w tej chwili - cicha, rozmarzona, cudowna. Nocna boginka.

A więc jednak, bez względu na to, czy tego chce, czy nie, będzie musiała mieć z nim do czynienia. Szkoda tylko, że z takiego powodu.

Zrobiła na nim wrażenie już w pierwszej chwili, kiedy spotkał ją w sklepie na zakupach. Właściwie nie było w tym nic dziwnego - nie był z nikim związany, a ona była atrakcyjną, wolną dziewczyną... W każdym razie to był dobry początek, a on zawsze miał oko na piękne kobiety.

Potem zetknął się z nią, kiedy starała się uzyskać zezwolenie na palenie ognia, na co niechętnie patrzyli mieszkańcy. Wtedy wyszukała jakiś stary, pochodzący jeszcze z 1888 roku przepis, który dopuszczał rozpalanie ognia dla celów rytualnych na terenie swojej posiadłości. Uparcie nalegała, by jako szeryf na tej podstawie wyraził zgodę. Uległ jej naciskom i skorzystał z okazji, by zaprosić ją i Toma do siebie na kolację.

Holly grzecznie, acz zdecydowanie odmówiła.

To tylko wzmogło jego zainteresowanie tą dziewczyną. Po jakimś czasie postanowił znów spróbować szczęścia. Zatelefonował i zaprosił ją na lunch. Tym razem samą.

- Bardzo dziękuję - odrzekła. - Nie jestem zainteresowana - oznajmiła stanowczo, kiedy po paru tygodniach ponowił zaproszenie.

- Wiesz, mężczyźni ją onieśmielają - tłumaczył wnuczkę Tom. -

Poza tym Holly ma te śmieszne uprzedzenia do osób, które polują i łowią ryby.

Zwłaszcza do myśliwych. Kiedyś stwierdziła, że w żaden sposób nie może normalnie traktować kogoś, kto dla własnej przyjemności zabija bezbronne zwierzęta.

Powiedziałem jej, że nie będzie jej łatwo znaleźć tu w Montanie faceta, który nie poluje czy nie wędkuje, ale to uparta dziewczyna. Oświadczyła, że nikogo jej nie potrzeba.

- Nieźle - skrzywił się Skye. - Tylko mi tu jeszcze brakowało obrońców praw zwierząt.

- Obawiam się, że według niej również roślinom należą się prawa i obrona - westchnął Tom. - Rozmawia z nimi.

Właściwie nie powinien zaprzętać sobie tym głowy, ale Holly i jej uparte trzymanie się na dystans intrygowały go. Dziewczyna stanowiła dla niego wyzwanie, a to go pociągało. Trudności podniecały go. W ich obliczu życie nabierało blasku i czuł, że krew zaczyna szybciej krążyć w jego żyłach.

- Jestem ziołem krwawnika - dobiegły go słowa Holly. Teraz nadeszła jej kolej. - Mam drobniutkie białe kwiaty, delikatnie postrzępione listki. Zatrzymuję krwawienie, leczę rany.

Chyba wystarczy, usłyszał aż nadto. Diabło chyba też, bo niecierpliwie podniósł łeb i zarżał. W jednej chwili uniesienie zniknęło z twarzy Holly. Gwałtownie otworzyła oczy i niespokojnie popatrzyła w ciemność.

Trzymające się za ręce kobiety, rozglądając się na boki, pospiesznie rozproszyły się wokół ognia.

- Hej! - podniesionym głosem zawołała Holly, z trudem kryjąc

niepokój. - Czy jest tu ktoś?

- Chyba musimy się ujawnić - mruknął Skye do konia i, ścisnąwszy go lekko nogami, ruszył do przodu.

Holly miała dziwne poczucie nierzeczywistości, kiedy dostrzegła go wynurzającego się z ciemności.

Wydawało się jej, że las cofnął się gdzieś daleko, że nagle znalazła się w jakiejś pustej, bezdrzewnej przestrzeni, gdzie jest tylko ona i ten nieznany jeździec.

Ogarnął ją jakiś pierwotny lęk. Zaczerpnęła powietrza, by go opanować i odzyskać równowagę.

Nieznajomy niespiesznie wynurzył się z ciemności i zbliżył do ognia. Przytłaczał swoim ogromem. Był bardziej uosobieniem mężczyzny niż żywym człowiekiem. Odziany w czerń, na czarnym wierzchowcu, zdawał się być nocną zjawą, potężnym, może wrogim duchem. Szatanem, który przybył, by ją uwieść i opętać.

Potrząsnęła głową, chcąc odegnać od siebie te urojenia. Gdzieś w środku ciągle czał się strach.

Szatan i zło istniały dla niej naprawdę. Ponad rok temu Willy Hess, który od lat ją prześladował i dręczył, napadł na nią w jej zielarni w Sedonie.

Ale nawet mimo pewnego podobieństwa ten pozostający w mroku człowiek nie jest tamtym mężczyzną.

Jej prześladowca nie żyje. Zrobiła krok naprzód.

Zacisnęła dłonie. Były dziwnie lepkie. Poczowała złość na siebie. Dlaczego, mimo upływu tylu miesięcy, ciągle jeszcze nie czuje się bezpieczna?

- Kim jesteś? - zapytała, wbijając oczy w ciemność.

- Przestraszyłeś nas.

- Przepraszam - odrzekł mężczyzna, zeskakując z konia i podchodząc do ognia.

Był wysoki, tak jak Willy. Miał szerokie bary, długie muskularne nogi i ręce. Teraz, kiedy stał bliżej, widziała go lepiej. Był ubrany w granatową roboczą koszulę, czarne dżinsy i wysokie buty do konnej jazdy.

Miał czarne, gęste włosy, może nieco zbyt długie.

Kiedy ogień oświetlił jego twarz, dostrzegła, że jest bardzo przystojny. Dopiero teraz go rozpoznała.

- Szeryf Rawlins - wykrztusiła z ulgą.

- Do usług - odrzekł z uśmiechem i wyciągnął do niej dłoń.

Ujęła ją bez zastanowienia, ale szybko wyrwała rękę z jego mocnego, ciepłego uścisku.

- To mój sąsiad - wyjaśniła Holly, zwracając się do pozostałych kobiet. - Ziemia pana Rawlinsa przylega do terenów mojego dziadka. Poza tym jest on również przedstawicielem prawa.

Nie spuszczał z niej oczu, w związku z czym ona też przyjrzała mu się uważnie. Twarz o regularnych rysach, oczy, które określiłaby jako dobre - duże, wyraziste, patrzące prosto na rozmówcę. Ostra linia nosa, szerokie, ruchliwe usta. Na policzku miał delikatne znamię, jakby powstałe pod wpływem nieznacznego dotknięcia mistycznego palca, kiedy jeszcze był w łonie matki. Czarne, gęste wąsy. Chyba nosił je od niedawna, bo nie miał ich na zdjęciu, które dostała od dziadka, kiedy jeszcze mieszkała w Arizonie. Obaj, ubrani w wędkarskie kamizelki i wysokie gumowe buty, stali w strumieniu i z dumnymi minami prezentowali ogromnego pstrąga.

- O co chodzi, szeryfie? Czyżbyśmy komuś zakłóciły spokój? Czy może znów jest problem z paleniem ognia? - spytała celowo chłodnym tonem Holly, choć jej słowa zabrzmiały łagodniej, niż sobie tego życzyła. - Mamy zezwolenie.

- A może przeszkadzamy w polowaniu? - dodała, kiedy Skye nie odezwał się, tylko potrząsnął głową. - Doszły mnie słuchy, że objeżdża pan teren na czarnym koniu z bronią gotową do strzału, w razie gdyby natknął się pan na jakieś bezbronne stworzonko.

- A ja słyszałem, że rozmawia pani z roślinami - odciął się Skye. Rozejrzał się wokół ze znaczącym spojrzeniem. - I co, odpowiadają?

Drwił sobie z niej. Pożałowała swojego niegrzecznego zachowania, ale nie znosiła myśliwych. I odczuwała przed nimi strach. Willy Hess też polował.

Nie mogła pojąć, co skłaniało cywilizowanych, dorosłych przecież ludzi do uganiania się z bronią po polach i lasach w poszukiwaniu zwierzyny. Nie pchał ich do tego głód, który tylko w ten sposób mogliby zaspokoić. Nie potrzebowali skór, by chronić się przed chłodem. Wiedziała od dziadka, że Skye Rawlins przez kilka lat pracował w Los Angeles, gdzie był wziętym prawnikiem. Bez wątplenia finansowo dużo stracił, kiedy z powrotem przeniósł się do Montany i został szeryfem, ale z całą pewnością nie polował dlatego, że był do tego zmuszony.

Dziadek przepadał za Rawlinsem, ale ona nie miała najmniejszej ochoty poznawać go bliżej. Mówiąc szczerze, starała się go unikać. Miała już serdecznie dość ciągłego wysłuchiwania pochwał na jego temat - że jest świetnym kumplem, bo zabierał dziadka na ryby; że można na nim polegać, bo pożyczył Tomowi

pieniądze; że jest duszą towarzystwa, bo zna mnóstwo dowcipów. Tom podziwiał też jego inteligencję, kiedy Skye pobił go w szachy.

Nie wierzyła w ani jedno słowo. Tom MacLeish zupełnie nie znał się na ludziach. Zawsze dawał się oszukać i wystrychnąć na dudka przez swoich rzekomych przyjaciół. Był tak łatwowierny i ufny, że nie mieściło się jej to w głowie. Poruszał się po świecie, niczego nie rozumiejąc z zasad, jakie nim rządziły.

Po śmierci żony jeszcze dwa razy się żenił. Za każdym razem zostawał sam, a żony odchodziły z innymi, młodszymi i bardziej atrakcyjnymi mężczyznami. Kilka lat temu stracił wszystkie oszczędności, kiedy jakiś spryciarz namówił go na zainwestowanie pieniędzy w zakup ziemi na pustyni w Newadzie.

Najgorsze w tym wszystkim było jego zaufanie do zajmującego się nim lekarza, człowieka, który już kilka razy stawał przed sądem za błędy w sztuce. Uwierzył mu, że nie jest poważnie chory i nie ma potrzeby wykonywania żadnych badań.

Niestety, było inaczej. Dopiero po roku okazało się, że dziadek jest chory na raka. Na leczenie było za późno.

Skye z pewnością o tym wiedział. A mimo to nadal wyciągał Toma z domu skoro świt albo o zmierzchu, kiedy dziadek powinien odpocząć po całym dniu. Tom wracał blady i wyczerpany, zwykle z wodą chlupoczącą w nieszczęsnych butach.

- Skye uważa, że wędkowanie jest świetną terapią - odpowiadała na jej utyskiwania.

- Ten Skye ma jeszcze mniej zdrowego rozumu niż ty. Przecież jesteś chory, a przez to czujesz się jeszcze gorzej!

- Co ty opowiadasz! Z nim zawsze czuję się świetnie. To

porządny facet. Jestem pewien, że gdybyś poznała go lepiej, bardzo byś go polubiła.

Szczerze w to wątpiła. Już dawno doszły ją plotki na temat Rawlinsa. Pochodził stąd i tu się wychował.

Wiele opowiadano o latach jego bujnej młodości.

Kiedy się opamiętał, przeniósł się do Kalifornii, wyrobił sobie nazwisko i żył całkiem nieźle. Potem rzucił to wszystko i wrócił do domu w Montanie.

Jego życie osobiste pobudzało wyobraźnię tutejszych mieszkańców. Podobno złamał niejedno serce.

Był konsekwentny - nie dawał się usidlić. Przypuszczalnie tak było, w każdym razie taka opinia pasowała do tego przystojnego, pełnego uroku mężczyzny.

- Czego pan sobie życzy, panie Rawlins? - zapytała Holly. - Robi się późno, pragnęłybyśmy dokończyć naszą ceremonię.

- Chciałbym chwilę z panią porozmawiać - przerwał z wahaniem Skye. - Ale proszę mi jeszcze powiedzieć, co tu się dzieje? O co w tym chodzi? Czy to ma być powrót do natury?

- Zajmuję się ziołami. W weekendy prowadzę zajęcia dla osób, które się tym interesują. Mam zamiar założyć plantację ziół i zorganizować w miasteczku kursy na ten temat. To są na razie plany, dopiero wypracowuję sobie metody.

- Na to wygląda. Chyba rzadko się zdarza, żeby takie zajęcia odbywały się w lesie w środku nocy.

Niektórzy w miasteczku twierdzą, że jesteście czarownicami. Ja jednak nie jestem przesądny.

Uśmiechał się, mówiąc. Znow uwagę Holly przykuły jego usta -

pełne, zmysłowe. Zdumiała się, kiedy nieoczekiwanie przemknęło jej przez myśl, że choć poluje, to jednak jest nieprawdopodobnie pociągający.

Wybij to sobie z głowy, zgań się w duchu. To blask ognia sprawia, że tak wygląda.

- Nadal nie wiem - odezwała się chłodno - co pana tu sprowadza.

- To prawda - jego uśmiech zgasł w jednej chwili.

- Chyba celowo z tym zwlekam. - Spojrzał na twarze przysłuchujących się rozmowie kobiet. - Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

Holly podążyła za nim, oddalając się o kilka kroków od grupy.

- Czy więc dowiem się wreszcie, dlaczego pan się tu fatygował?

- Słuchaj, Holly, chodzi o pani dziadka.

Naraz opuściła ją pewność siebie. Ogarnął ją strach.

Jak mogła tak zupełnie zapomnieć o jednym z podstawowych obowiązków policji i szeryfa - powiadamiania krewnych o wypadkach i śmierci bliskich.

- Co to znaczy? Co się stało? Czyżby szpital próbował mnie odnaleźć?

- Tak. Nikt nie odpowiadał i wtedy zatelefonowali do mnie. Wszyscy wiedzą, że jesteśmy sąsiadami.

- Co z dziadkiem? - Mimowolnie chwyciła Skye'a mocno za rękę. - O Boże, on nie umarł, prawda?

- Nie, nie umarł. Ale nie jest z nim dobrze. Sam dokładnie nie wiem, co się stało. Przez telefon informują bardzo niechętnie i oględnie. Holly - dodał łagodniejszym tonem - on pyta o panią.

- Zaraz jadę. Biegnę do domu po samochód i...

- Proszę poczekać. Ja panią zawiozę. Stąd pani ma dosyć daleko do domu, szkoda czasu. Jest pani lekka, Diabło da radę zawieźć nas oboje. Będzie dużo szybciej.

Dziewczyna sceptycznie zerknęła na stojące obok zwierzę, ale nie zaproponowała. W tej chwili nie miało znaczenia, czy Rawlins był żądnym krwi myśliwym, dla własnej przyjemności mordującym bezbronne zwierzęta. Liczył się tylko fakt, że był przyjacielem jej dziadka.

- Dziękuję. W takim razie jedźmy natychmiast.

- Chwyliła za siodło. - Proszę mi pomóc.

Wkładała stopę w strzemień, kiedy poczuła silne dłonie Rawlinsa ujmujące ją w talii i unoszące w górę.

Przerzuciła prawą nogę przez grzbiet wierzchowca i usadowiła się w siodle. Strzemiona były za nisko, nie mogła ich dosięgnąć.

- Proszę przesunąć się do przodu - polecił Skye.

- Tak będzie nam niewygodnie.

Usiadł za nią, włożył nogi w strzemiona i chwycił wodze. Zdezorientowany koń stanął dęba, ale Rawlins był doświadczonym jeźdźcem i opanował go bez trudu.

- Holly, co się stało? - wypytywała ją jedna z kobiet.

Dziewczyna w paru słowach wyjaśniła sytuację.

- Moiro, ty masz największe doświadczenie. Czy mogłabyś mnie zastąpić?

- Oczywiście - odrzekła rudowłosa kobieta. - Tak mi przykro. Nie martw się o nas.

- Dzięki. - Holly odwróciła się do Skye'a. - A więc jedźmy. Na co

czekamy?

- Jeździła już pani konno?

- Niestety, niewiele.

- A wcale nie bała się pani wsiąść na tego ogromnego konia. -
Drwina zniknęła z jego głosu. - Podziwiam panią.

- Niepotrzebnie. Okropnie się boję - dodała, z całej siły zaciskając palce na krawędzi siodła.

- Proszę się rozluźnić. - Jedną ręką objął ją w talii i przysunął się nieco bliżej. - Nic złego pani się nie stanie.

Próbowała się opanować, ale mimo woli zadrżała, kiedy nieoczekiwanie ten obcy znalazł się tak blisko niej. Przecież starał się jej pomóc. Nie powinna robić mu przykrości. Ale był tak blisko. Ta cała sytuacja naraz wydała się jej zupełnie nierzeczywista. Czy to dzieje się naprawdę? Rawlins jest taki przystojny.

Kilka razy bezskutecznie próbował się z nią umówić, a teraz trzymał ją w ramionach. Bała się o dziadka, ale mimo to przepełniało ją jakieś dziwne, podszyte lękiem podniecenie, kiedy czuła jego ramię obejmujące ją w talii, niepokojący dotyk jego ciała.

Ruszyli w mrok.

- Proszę się nie bać, nie spadnie pani - zapewnił ją, gdy jeszcze mocniej zacisnęła palce na siodle.

- Nie boję się upadku. Martwię się o dziadka. Nie możemy jechać szybciej?

Skye ścisnął boki konia. Popędzili w ciemność.

Nie był dla niej niczym więcej niż kimś oferującym środek transportu, co do tego nie miał złudzeń. Ale od chwili, kiedy jej dotknął, cały świat naraz zupełnie się zmienił. Holly okazała się taka,

jak ją sobie wyobrażał.

Bliskość jej drobnego ciała przyprawiała go o zawrót głowy. Czarne jedwabiste włosy spadały jej na ramiona, kusząc go swą świeżą, lekko egzotyczną wonią. To pewnie jakieś zioła, pomyślał, walcząc z pokusą, by zanurzyć w nich twarz. By zanurzyć się w niej.

Zawstydził się naraz. Bez zastanowienia oddał się marzeniom o tej dziewczynie, nieoczekiwanie uległ jej urokowi, a w tym samym czasie Tom, jej dziadek, a jego przyjaciel, walczył w szpitalu ze śmiercią.

Nic dobrego z tego nie może wyniknąć, pomyślał.

Zaczęła się rozmowa o polowaniu. W gruncie rzeczy nie była to rozmowa, właściwie mówił tylko Skye, adziadek wsłuchiwał się w jego słowa, lekko zaciskając spoczywające na szpitalnej kołdrze palce i nie odrywając oczu od twarzy mówiącego.

- Nic nie da się z tym porównać. Wstajesz jeszcze przed świtem, ubierasz się po ciemku, naciągasz na siebie grube skarpety i ciepłą bieliznę. W kuchni smaży się bekon, zaparzona kawa bulgocze w dzbanku, a ciebie przepelnia to dziwne, przemieszane z oczekiwaniem podniecenie, i nie przeraża cię panujące na zewnątrz chłodne, przejmujące do szpiku kości jesienne powietrze.

Psy niespokojnie kręcą ci się pod nogami, nie mogą doczekać się wyjścia, instynktownie przeczuwając bliską już radość tropienia i polowania. Zabierasz swoją pomarańczową czapeczkę, podniszczoną, wygodną myśliwską kamizelkę, naboje i broń - nową, kupioną zeszłej zimy dubeltówkę i starą, wysłużoną strzelbę, którą dostałeś od ojca na dwunaste urodziny. Jej widok przenosi cię w dawno minioną przeszłość, cofa do czasów, kiedy dopiero co

przestałeś być dzieckiem i ciągle jeszcze nie mogłeś nadążyć za dorosłymi, musiałeś ostro wyciągać nogi; przypominasz sobie smak porannej kawy, którą parzyłeś sobie usta, kiedy, jak inni, przełykałeś ją o świcie, by się choć trochę rozgrzać; swą niepewność i nieśmiałość, która powstrzymywała cię od wyrobienia sobie zdania, czy w tych splątanych ciernistych zaroślach może kryć się tropiony ptak.

Te dni były wspaniałe i niepowtarzalne, pełne jakiegoś magicznego czaru, który na zawsze zachowasz w pamięci. Masz przed oczami opromienione złotym blaskiem poranki, kiedy suche liście chrzęściły pod stopami, a drzewa wyciągały w niebo nagie gałęzie, tak wyraźnie rysujące się na tle błękitnego listopadowego nieba. Las ciągnął się w nieskończoność. To wtedy nauczyłeś się kochać tę ziemię i zamieszkujące ją stworzenia.

- Chodziłem na polowania z moim ojcem - wyszeptał dziadek. -
To było w okolicach Yellowstone.

Wtedy była tam zupełna dzicz, nie to co teraz, kiedy wszędzie nastawiali hoteli i pensjonatów dla narciarzy.

- Teraz tak już jest - pokiwał głową Skye. - Zabudowali tereny, gdzie poprzednio ciągnęły się lasy, w zanieczyszczonych rzekach i strumieniach giną ryby.

Chociaż wmiastach jest jeszcze gorzej. Spędziłem kilka lat w Los Angeles, tam ściga się przede wszystkim handlarzy narkotyków i złodziei.

- Świat się zmienił - Tom z trudem wymawiał słowa. - Nie podoba mi się to, co nadchodzi. Chyba odejdę stąd bez żalu.

- Nie mówmy o tym.

Rawlins usiadł na krześle stojącym obok łóżka Toma. Holly krążyła po pokoju. Skye przywiózł ją do szpitala i został z nią. Był środek nocy, właściwie sama dokładnie nie wiedziała, która mogła być teraz godzina, straciła poczucie czasu. Dziadek leżał na oddziale intensywnej terapii, oplątany jakimiś przewodami, podłączony do różnych urządzeń. Okazało się, że miał rozległy zawał. Rokowania nie były pomyślne.

Próbowano odwieść ich od zamiaru pozostania przy Tomie, ale Holly nie chciała o tym słyszeć.

Obawiała się, że dziadek może nie przeżyć nocy.

W końcu Skye porozmawiał na osobności z przełożoną pielęgniarek i ostatecznie zezwolono Holly pozostać. Rawlins najwyraźniej uznał, że jego to też obejmuje, bo nie ruszył się z miejsca.

Dlaczego został? Przypuszczalnie coś się za tym kryło. Czy w innym razie aż tak poświęcałby się dla swojego ekscentrycznego sąsiada?

Chodzi mu o mnie, olśniło Holly zniecka. Próbował się ze mną umówić, ale odrzuciłam jego zaproszenia. Może to wzbudziło jego zainteresowanie. Ten przystojny, niebieskooki i wysportowany zdobywca kobiecych serc mógł uznać to za wyzwanie.

Przestań być taka cyniczna, upomniała się w duchu.

Przecież tak się przejął, zachował się jak najlepszy przyjaciel i oddany sąsiad. Najwyższy czas, by skończyć z tymi uprzedzeniami i w postępowaniu każdego mężczyzny doszukiwać się złych intencji.

Chociaż z drugiej strony odrobina podejrzliwości względem Skye'a nie zawadzi. Nie tak dawno temu dziadek wspomniał coś o

zamiarze sprzedania Rawlinsowi części ziemi.

- Potrzebne są mi pieniądze - wyjaśnił. - Z przykrością o tym myślę, bo ta ziemia od pokoleń należy do naszej rodziny. Ale Skye'owi zależy na niej, a to jedyny człowiek, któremu sprzedam ją bez żalu. Wiem, że nie podzieli jej na działki, które natychmiast wykupią firmy budowlane na kolejne ośrodki rekreacyjne. Skye kocha tę ziemię.

- Chyba nie ziemię, a zamieszkujące ją ptaki i zwierzęta, na które będzie mógł zapolować. Dziadku, nawet nie myśl o tym, by mu to sprzedawać. Mam pieniądze z ubezpieczenia, które dostałam po ojcu.

Pomogę ci.

- Nie wezmę twoich pieniędzy, słonko - upierał się Tom. - Będą ci potrzebne na przyszłość. Poza tym i tak by ich nie wystarczyło.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Jak dużo ci potrzeba?

- Długi to prywatna sprawa - powiedział tylko Tom. - Zresztą nie przejmuj się tym. Mam na nie pokrycie.

A może ta obecność Skye'a w szpitalu nie ma żadnego związku z nią, może chodzi o ziemię?

„Skye'owi bardzo na niej zależy”, przypomniała sobie słowa dziadka. Może uznał, że nadeszła ostatnia chwila, by uszczknąć z tej ziemi coś, zanim Tom umrze? Niemal spodziewała się, że zaraz wyjmie z teczki jakieś papiery i podsunie je dziadkowi do podpisu. W końcu, choć w tej chwili zajmował się czym innym, to jednak był prawnikiem.

Obrzuciła obu mężczyzn badawczym spojrzeniem.

Opalona, przystojna twarz Skye'a jaskrawo kontrastowała z

bladym, wymizerowanym obliczem Toma.

Nie, to niemożliwe, by Skye miał jakieś ukryte motyw. Może nie traktowałaby go z taką rezerwą, gdyby w jakiś nieokreślony sposób nie przypominał jej tamtego mężczyzny, który prześladował ją w Sedonie?

Skye spojrział na nią, jakby poczuł na sobie jej wzrok. Dziadek opuścił powieki, zdawało się, że zasnął. W oczach Skye'a dostrzegła niepokój i czujność. Miała wrażenie, że jego wzrok przeszywa ją na wylot. Zmieszła się. Naraz poczuła się jak bezbronne zwierzę, czujące wycelowaną w siebie broń.

Skye Rawlins nie był Willym Hessem, ale coś ostrzegało ją, by mieć się przed nim na baczności, jeśli nie chce zostać skrzywdzona.

Było gorzej, niż przypuszczał. Nie lubiła go. Ciekawe, dlaczego. Kiedy kilka tygodni temu odrzuciła jego zaproszenia, bo nie chciała umawiać się z nieznanym, sądził, że zmieni zdanie, jeśli go lepiej pozna.

Znów to męskie zadufanie. Dobrze mi tak.

Nigdy nie musiał szczególnie się starać o kobiety.

To one uganiały się za nim. Jeśli wziąć pod uwagę badania demograficzne, nie było w tym nic dziwnego.

Samotnych kobiet między trzydziestką a czterdziestką było znacznie więcej niż mężczyzn. W dodatku mężczyźni zazwyczaj szukali młodszych, więc przewaga kobiet była wyraźna.

Kiedyś, lata temu, bawiło go ich zdobywanie, ale teraz był ostrożniejszy. Dobrze wiedział, że gdyby przyznał się do tego, że woli, by sam robił pierwszy krok, planował wyjścia, płacił za kolacje i prowokował seks, byłoby to źle przyjęte. A sytuacja, w której to on

był uwodzony, traciła urok.

W tym przypadku to mu nie grozi. Za dobrze potrafił rozpoznawać te subtelne sygnały i milczące gesty, by się mylić. Nie interesował jej. To wszystko.

Holly traktowała go uprzejmie, ale przez cały czas zachowywała dystans. Po tych kilku chwilach jazdy, kiedy miał ją w ramionach i czuł bicie jej serca, natychmiast wróciła do poprzedniej roli. Podświadomie czuł, że należy do kobiet, o które stale trzeba zabiegać.

Wystarczy moment nieuwagi i natychmiast się wymknie.

Większość kobiet o mnie mówiła w ten sposób, przypomniał sobie nieoczekiwanie. Żadnej nie udało się go do końca usidlić.

Szkoda, że tak mało o niej wiedział. Jej ojciec, syn Toma, zginął dwadzieścia lat temu w wypadku samochodowym. Holly była wtedy dzieckiem. Co się stało z jej matką? A Holly? Czy miała jakichś mężczyzn?

Wprawdzie nie wyszła za mąż, ale przecież nie mogła być zawsze sama. Co wydarzyło się w jej życiu?

Tom jęknął przez sen. Skye otrząsnął się ze swoich rozmyślań i głęboko zawstydził. Holly tak go zaabsorbowała, że całkiem zapomniał, dlaczego się tu znaleźli.

Czego, do diabła, się po niej spodziewał? To naturalne, że teraz była całkowicie pochłonięta myślami o dziadku. I tak być powinno. Tylko ktoś taki jak on, potwór bez serca, kierujący się jedynie własnymi popędami, mógł w takiej sytuacji zastanawiać się, jakie ma szanse poderwać wnuczkę człowieka, który leżał na łożu śmierci.

W dodatku Tom był jego przyjacielem. Był dla niego ucieczką i

pociechą w tych trudnych chwilach, kiedy po powrocie do Montany nie potrafił przestawić się na zupełnie inny sposób życia niż ten, do którego przywykł. Nagła, nie zaznana wcześniej samotność przygniatała go. To Tom pomógł mu przetrwać najgorszy czas, jemu mógł się wyzalić, z nim podzielić myślami.

Kogoś takiego potrzebował. Tom był prawdziwym kumplem. Nie oczekiwał tłumaczeń. Rozumiał jego potrzebę samotności i niezależności. Niczego od niego nie chciał, potrafił zachować dystans, nigdy nie pozwolił sobie na zbytne natręctwo. Doskonale wyczuwał granice. Kobiety nigdy tego nie umiały, zawsze były zbyt obcesowe. Naruszały jego autonomię, nie pozostawiały mu miejsca tylko dla niego. Nie potrafiły pojąć, na czym opiera się męska przyjaźń: jest ktoś, na kogo możesz liczyć w potrzebie, choć wolisz, by każdy starał się polegać tylko na sobie. Sam zwykle tak właśnie robił.

Ale kiedy człowiek umiera, nadchodzi pora, by przyjaciele uczynili to, co do nich należy. Skye nie zawiedzie Toma, nie opuści go w takiej chwili.

W tej sytuacji nie zostawia się też samym sobie ślicznych czarnowłosych wnuczek przyjaciół. Nawet jeśli patrzą na ciebie, jak na kogoś niewiele więcej wartego od przestępców, których broniłeś.

Tom uniósł się nieco. Ponownie otworzył oczy.

- Holly?

Skye poczuł skurcz w gardle, kiedy zobaczył nagły błysk w oczach dziewczyny. Ciągle wierzyła, że Tom wyzdrowieje. Trudno będzie się jej pogodzić z jego odejściem.

- Kocham cię, dziecino - wyszeptał Tom.

Mówił z coraz większym trudem. Holly musiała to spostrzec, bo nadzieja nagle zgasła w jej oczach, a po policzkach popłynęły łzy.

- Ja też cię kocham. - Mocno uścisnęła osłabłe palce dziadka, jakby próbując w ten sposób dodać mu sił. Spokój zniknął z twarzy Toma, patrzył teraz na wnuczkę z napięciem.

- Holly, obiecaj mi...

- Co mam ci obiecać, dziadku?

- Obiecaj, że... że spełnisz moje życzenia. Powiedz, że nie... - kaszel przerwał jego słowa - że nie... nie zakwestionujesz mojego testamentu.

- Ależ dziadku, oczywiście, że tego nie zrobię. Nie martw się o to. Jeszcze nie nadeszła pora, by mówić o takich rzeczach. Jeszcze długo nie będzie takiej potrzeby. Już jest z tobą lepiej. Zobacysz, tylko się nie poddawaj.

Dlaczego miałaby podważyć testament? zdumiał się Skye. Nie przychodził mu do głowy najmniejszy powód. Tom posiadał kilkadziesiąt hektarów ziemi.

Skye nawet miał nadzieję, że odkupi od niego jakąś jej część, kiedy powrócił do Montany i osiadł w swojej niewielkiej posiadłości. Nie przypuszczał, by Tom miał jakieś pieniądze. Sam pożyczył mu kilka razy spore sumy. Dobrze, że sobie o tym przypomniał. Musi jak najszybciej zniszczyć pokwitowania Toma, nie będzie przecież ściągać tych pieniędzy od Holly. I tak dziewczyna nie będzie miała ich zbyt wiele.

- Wszystko, co zrobiłem, uczyniłem zmyśłą o tobie - z trudem mówił Tom. - Wiem, że nie zrozumiesz tego, pewnie nawet będziesz na mnie zła, ale któregoś dnia wszystko się wyjaśni i wtedy spojrzysz

na to inaczej.

- Tak, dziadku, wiem. - Pochyliła się i wargami musnęła go w czoło. - Zawsze byłeś dla mnie dobry.

Bardzo cię kocham.

- Więc obiecaj mi, że zrobisz to, o co proszę w liście.

Obiecaj, że nie podważysz mojego testamentu.

- Dziadku, o jakim liście mówisz?

Tom zakaszlał głęboko, przez dłuższą chwilę nie mógł złapać tchu.

- Holly, obiecaj mi to, proszę - wyszeptał wreszcie.

Holly spojrzała nad nim na Skye'a, jakby szukając u niego pomocy. Sam nie wiedział, co o tym myśleć.

Uniósł lekko ramiona i bezradnie rozłożył ręce.

- Holly?

Dziewczyna pochyliła się i pocałowała Toma w zapadnięty policzek.

- Obiecuję, że wypełnię twoje życzenia zawarte w liście i przyrzekam, że nie podważę twojego testamentu - oświadczyła wyraźnie i stanowczo.

Tom z ulgą opadł na poduszkę.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Holly. Zawsze miałem z ciebie pociechę. Chcę tylko... zatroszczyć się o ciebie. - Rozejrzał się po pokoju. - Czy Rawlins jest tutaj? Chcę... muszę z nim też pomówić.

Skye stanął obok dziewczyny.

- Jestem tutaj, Tom. Strzelaj.

- Ty też, stary. Obiecaj mi.

- Jasne. Ale co?

- To samo.

- Chcesz, żebym się upewnił, czy z twoim testamentem jest wszystko w porządku? Nie jestem twoim adwokatem, ale dowiem się, kto go sporządził i dopilnuję, by twoje życzenia zostały uszanowane. O to ci chodzi?

Tom potrząsnął przecząco głową.

- Wiem, że nie jesteś moim adwokatem - powiedział stanowczo. - Ale chyba możemy zawrzeć ustną umowę, co? Honorową.

- Oczywiście, że tak. Myślę, że znasz mnie wystarczająco, by wiedzieć, że zawsze dotrzymuję danego słowa.

- W takim razie obiecaj, że spełnisz moje życzenia zawarte w liście. I że nie zakwestionujesz mojego testamentu.

- Tom, nie mam nic do twojego testamentu. Ale Holly może liczyć na moją pomoc jako prawnika, jeśli o to ci chodzi...

- Testament ciebie też dotyczy - odrzekł Tom.

- Przysięgnij.

- W porządku - odparł Skye, wznosząc ramionami i przenosząc wzrok na Holly. Dziewczyna kiwnęła głową, jakby chcąc go zachęcić. - Spełnię twoje życzenia.

Nie podważę twojego testamentu i nie dopuszczę, by ktokolwiek to uczynił. Masz na to moje słowo. A teraz, Tom, odpocznij i o nic się nie martw. Ja wszystkim się zajmę. Zaopiekuję się również twoją wnuczką.

Tom uśmiechnął się, wyraźnie rozluźniony.

- Kocham was - wyszeptał. - Kocham was oboje.

Zdawało się, że teraz, kiedy już osiągnął swój cel i wymusił na

nich tę obietnicę, siły go opuściły, nie miał już nic więcej do zrobienia. Zamknął oczy, jeszcze raz skinął głową i odetchnął z lekkim westchnieniem.

Więcej się nie poruszył.

- Dziadku? - wyszeptała Holly. - Dziadku!

Cisza. Twarz Toma wygładziła się, przybrała wyraz tak głębokiego spokoju, że patrzącego na nią Skye'a na moment przejął dziwny lęk. Nie czuł strachu przed śmiercią i miał wrażenie, że Holly też się jej nie obawiała. Była tak blisko natury, tak mocno związana z przyrodą, że musiało to być dla niej czymś naturalnym, kolejnym, nieuniknionym etapem każdego życia.

Z pewnością przez to wcale nie było lżej ani łatwiej się z tym pogodzić. Zadrzała gwałtownie, jakby opierając się nieubłaganej sile, z jaką śmierć rozdzielała bliskich sobie ludzi.

- Skye, on odszedł od nas - wyszeptała drżącym głosem.

Podszedł do niej bliżej i położył ręce na jej ramionach. Poczul, że słabnie. Pochwycił ją i podtrzymał, nie pozwalając jej upaść. Po chwili Holly odzyskała równowagę, ale pozostała w jego ramionach. Dreszcze wstrząsały jej ciałem, łzy płynęły po policzkach.

- Tak mi przykro, Holly. To był dobry człowiek.

- Nikt nie był taki jak on - wyszeptała zdławionym głosem. Czuł na szyi jej gorący oddech. - Tyle dla mnie zrobił. To on mi pomógł, kiedy wiele lat temu byłam w potrzebie. To dzięki niemu zachowałam równowagę psychiczną, może nawet zawdzięczam mu życie. Tak bardzo go kochałam.

- On też cię kochał, Holly.

Co mogły znaczyć jej słowa? Zawdzięcza mu równowagę

psychiczną? Może nawet życie? Co się wtedy wydarzyło? Zaintrygowała go.

- Już mi go brak.

- Wiem. - Delikatnie pogładził ją po plecach. Pod skórą czuł twarde mięśnie. Była szczupła, ale silna.

Miała cudowne ciało. - Mnie też go brak.

Gdzieś obok rozległ się jakiś sygnał, to pewnie urządzenie monitorujące pracę serca dzwoniło na alarm. Na korytarzu rozległy się czyjeś szybkie kroki, drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł lekarz i pielęgniarka. Już nic nie mogli zrobić.

Objęci Skye i Holly trwali w bezruchu, przepelnieni smutkiem i żalem. Skye podtrzymywał dziewczynę, próbując dodać jej siły, przekazać jej część własnej energii. Holly poruszyła się lekko, wydało mu się, że jej usta delikatnie dotknęły jego szyi. Przepelnilo go nagłe pragnienie, by przytulić ją mocniej, obsypać pocałunkami, pogładzić czule. Dobrze wiedział, że ogarnięta rozpaczą dziewczyna nie była świadoma uczuć, jakie w nim budziła.

Oswobodziła się z jego objęć, podeszła do łóżka i leciutko dotknęła wygładzonej twarzy dziadka. Nie bacząc na lekarza i pielęgniarki pochyliła się i ucałowała jego zamknięte oczy.

- Żegnaj, dziadku - wyszeptała łamiącym się głosem. - Bądź błogosławiony.

- Zaopiekuję się nią, Tom - ledwie słyszalnie powiedział Skye.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie mówi pan tego poważnie - powiedziała Holly. - To niemożliwe.

Siedziała w gabinecie firmy adwokackiej, której klientem był jej dziadek. Właśnie odczytano jego testament. Obok niej siedział Skye Rawlins, którego również poproszono o przybycie. Wydawało się jej to dziwne, ale teraz już wszystko rozumiała.

- Chce pan powiedzieć, że mój dziadek podzielił posiadłość? Zapisał całą ziemię szeryfowi Rawlinsowi, a mnie zostawił tylko dom?

Geoffrey Bolton, nieprzystępny, ubrany w źle skrojony garnitur męczyzna w średnim wieku, sprawiał wrażenie zmieszanego. Zerknął na nią spod oka.

- Dom z umeblowaniem i wszystkimi rzeczami osobistymi. Poza tym stodołę. I dodatkowo dwa tysiące metrów działki, na której stoi dom. Reszta należy do pana Rawlinsa.

- Musiało zajść jakieś nieporozumienie. - Holly podniosła się z miejsca. - Widziałam testament dziadka. Nie było w nim mowy o panu Rawlinsie. Zresztą nie było powodu, przecież nie jest członkiem rodziny.

- To jest nowy testament. Został sporządzony niecałe trzy tygodnie temu.

Skye też powstał.

- Jeśli Tom zmienił testament na moją korzyść, to przypuszczalnie w ostatnim okresie życia nie był w pełni władz umysłowych. Inaczej nigdy by się tak nie stało.

- Sam spisywałem ten testament - oświadczył Geoffrey Bolton.
- Znałem Toma od wielu lat. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co robi.

- Niemożliwe, by...

- Gdyby wysłuchała mnie pani do końca, dowiedziałaby się pani o dodatkowych warunkach testamentu. Ale może, nim do tego przejdziemy, pozwolicie państwo, że przeczytam list, który wyjaśnia intencje Toma. Sprawa jest dość skomplikowana i, powiedziałbym, bardzo nietypowa, ale sami państwo wiedzą, że Tom również był dość ekscentrycznym człowiekiem.

- Panie Bolton, nie mam zamiaru odbierać ziemi jedynej wnuczce Toma - oświadczył Skye, przemierzając gabinet adwokata. - Z tego, co mi wiadomo - dodał po chwili - Holly planuje założenie w Whittier plantacji ziół i organizowanie kursów zielarskich. Ziemia będzie jej potrzebna.

- Chodzi o coś więcej. Kocham tę ziemię. Wychowałam się tutaj, ta ziemia jest częścią mnie samej.

Mój dziadek wiedział o tym. Nie mogę uwierzyć, że zrobił coś takiego. To jest dla mnie niepojęte.

- Holly oczywiście może podważyć testament, a ja nie będę czynić przeszkód - oświadczył Skye.

- W gruncie rzeczy... - naraz urwał.

Ich spojrzenia się spotkały. Wiedziała, o czym myśli Skye. To ją oszołomiło. Przed oczami stanęła jej twarz dziadka, z trudem łapiącego oddech, nalegającego na złożenie przez nią i Skye'a obietnicy...

- O Boże. Przyrzekliśmy mu, że nie będziemy kwestionować testamentu!

- Tak, wiem, ale...

- I obiecaliśmy wypełnić zawarte w liście życzenia, bez względu na to, czego dotyczą.

- Na litość boską, przecież chodziło o podtrzymanie na duchu umierającego człowieka.

Holly powoli potrząsnęła głową. Dziadek dobrze wiedział, jak poważnie traktowała składane przez siebie obietnice. Każdy człowiek ma w życiu kilka rzeczy, które ceni najbardziej i uważa za najwyższą wartość. Dla niej taką wagę miało dotrzymywanie danego słowa. Nie raz rozmawiała z dziadkiem na ten temat. Nie wyrządza się celowo krzywdy, nie zawodzi przyjaciół i nie łamie obietnic. Podejrzewała, że ze Skye'em było podobnie. „Myślę, że znasz mnie wystarczająco, by wiedzieć, że zawsze dotrzymuję słowa”.

- Psiakrew! - mruknął pod nosem Skye i uderzył pięścią w otwartą dłoń. - A więc to o to mu chodziło.

- Najwyraźniej. Ale ja ciągle nie rozumiem, dlaczego...

- Posłuchajmy tego cholernego listu.

Adwokat głośno chrząknął.

- Byłbym zobowiązany, gdyby zechcieli państwo łaskawie wysłuchać go do końca, nie przerywając mi.

- Tak źle się zapowiada? - mruknął Skye.

Twarz Geoffreya Boltona przybrała kamienny wyraz. Zaczął czytać.

„Kochani!

Oboje znacie już postanowienia mojego testamentu.

Przypuszczam, że jesteście tym poruszeni i nie możecie się z nim pogodzić. Pewnie zastanawiacie się, co, do diabła, strzeliło do głowy temu staremu dziwakowi.

Okażcie jeszcze trochę cierpliwości. Wysłuchajcie mojego planu.

Holly, mam tylko ciebie i kocham cię bardziej, niż potrafię to wyrazić. Ale nie zadbałem o ciebie wystarczająco. Pozwoliłem, by pieniądze, jakie miałem, przepłynęły mi przez palce. Ale jeszcze nie to jest najgorsze.

W czasie swojej choroby przepuściłem też pieniądze należące do innych. Gdyby nie przyjaciel, który mnie poratował i pożyczył więcej, niż jestem w stanie oddać, już dawno musiałbym pożegnać się z domem i nie mógłbym leżeć teraz w szpitalu.

Holly, zawdzięczam to tylko Skye'owi Rawlinsowi.

To porządny człowiek. Jestem jego dłużnikiem. Honor nie pozwala mi odejść z tego świata, nie spłaciwszy swoich długów. To równałoby się zdradzie przyjaciela, a przecież znasz moje zdanie na ten temat.

To dlatego zapisałem mu ziemię. Wiem, że myślał o niej, i wiem, że ją kocha. Bóg tylko wie, że jestem mu winien dużo więcej, niż ta ziemia jest warta. Ale to wszystko, co mam.

Holly, ty też kochasz tę ziemię, wiem o tym. Znam twoje plany założenia tu szkoły zielarskiej. Chciałbym, żeby to ci się udało. Ale obawiam się, że jeśli zostaniesz sama i zdana tylko na siebie, otoczysz się tymi swoimi zwariowanymi feministkami, uzdrowicielkami, wy-znawczyniami filozofii New Age i innymi czarownicami, i już żaden mężczyzna nie będzie mieć do ciebie dostępu.

Dobiegasz trzydziestki i z tego, co wiem, w twoim życiu nie ma żadnego mężczyzny. Oboje wiemy, dlaczego tak jest. Ale to nie może trwać wiecznie, Holly.

Nie możesz patrzeć na wszystkich mężczyzn przez pryzmat

tego jednego szaleńca.

Co się tyczy ciebie, Skye, to choć zapewne się zachniesz, myślę, że w głębi duszy też tęsknisz za spokojem, zapuszczeniem korzeni, założeniem rodziny. Znam twój sceptyczny stosunek do tych spraw, ale gdyby było inaczej niż myślę, to po co wracałbyś do Montany?

Oboje macie ze sobą wiele wspólnego. Dużo więcej niż przypuszczacie. Przekonacie się, że nadejdzie jeszcze dzień, kiedy będziecie mi wdzięczni.

To wszystko, co chciałem wam powiedzieć. Pan Bolton wyjaśni wam warunki testamentu. Jeszcze raz zobowiązuję was do uszanowania woli umierającego”.

- Na tym list się kończy - powiedział adwokat.

- Tom żegna was serdecznie.

Holly milczała. Podczas słuchania listu kilka razy wzbierała w niej gniew - zwłaszcza przy fragmentach na temat jej zwariowanych koleżanek czy braku mężczyzny. Ale jeszcze silniejszy był smutek i żal, kiedy wsłuchiwała się w znajome słowa i zdania. Dławiło ją w gardle. Przez lata, kiedy mieszkała w Arizonie, często dostawała listy od Toma. Uwielbiała je. Tak trudno było pogodzić się z tym, że dziadek już nigdy do niej nie napisze.

- Zaczynam mieć złe przeczucia - odezwał się Skye.

- Może lepiej zechce pan wyjaśnić te warunki.

Adwokat odkaszlnął, uciekł wzrokiem gdzieś w bok.

- Dobrze, w takim razie proszę posłuchać. Pan, szeryfie, dostaje ziemię, ale jedynie wtedy, jeśli zdecyduje się pan natychmiast... poślubić pannę MacLeish i osiąść wraz z nią w posiadłości Toma na okres nie krótszy niż sześć miesięcy.

- Poślubić mnie? - wykrzyknęła Holly.

Skye zaklął pod nosem.

- Zawarte małżeństwo ma być nim w pełnym sensie tego słowa - dodał prawnik. - Może zostać rozwiązane jedynie w przypadku istnienia niemożliwych do złagodzenia konfliktów między wami. Innymi słowy, jeśli okaże się, że pan, szeryfie, i panna MacLeish nie będziecie w stanie znieść swojego towarzystwa, po sześciu miesiącach wspólnego zamieszkiwania możecie wziąć rozwód. Wówczas cały majątek zostanie podzielony między was w sposób, jaki będzie państwu odpowiadał.

- Nie chcę tego dłużej słuchać - oświadczyła Holly.

- Nie ma o czym mówić, to absolutnie nie wchodzi w grę. Pod żadnym pozorem nie wyjdę za niego.

- Zgadzam się z tym - potwierdził Skye. - W najmniejszym stopniu nie zależy mi na odziedziczeniu czegokolwiek po Tomie.

- Czyżby? - Holly odwróciła się do niego ze złością.

- Jeszcze nie tak dawno próbowałeś kupić od niego część ziemi - przypomniała mu. - Skąd mam wiedzieć, czy nie ukartowaliście tego razem? Chciałeś mieć ziemię i najwyraźniej miałeś też ochotę na mnie. W ten sposób masz jedno i drugie.

- Poczekaj chwilę. Jeśli sądzisz, że mam z tym coś wspólnego albo że wiedziałem coś o tym wcześniej, to grubo się mylisz.

- Proszę państwa, jeszcze nie skończyłem - przerwał im Bolton. - Jeśli państwo nie przyjmiecie tego warunku, to znaczy nie zgodzicie się na małżeństwo, wówczas dom, do którego, jak już uprzednio wspomniałem, dolicza się stodołę i inne zabudowania gospodarcze, oraz cała ziemia, ma zostać sprzedana za najwyższą

oferowaną sumę jednej z firm budowlanych. O ile się orientuję, Whittier staje się ostatnio modnym miejscem. Jeszcze trochę i zamiast lasów, pól i gór wszędzie wyrosną domy mieszkalne i ośrodki wypoczynkowe.

- Nie, nie wierzę! Przecież dziadek nigdy by do tego nie dopuścił.

- Z przykrością muszę dodać, że jeżeli nie będzie zgody na zawarcie ślubu i posiadłość zostanie sprzedana, nie otrzymacie żadnych pieniędzy. Mają one zostać przekazane w darze - Bolton” urwał i odchrząknął - dla Związku Łowieckiego.

- O Boże! - wykrzyknęła Holly.

To było za dużo nawet dla Skye’a. Opadł na stojące na wprost biurka krzesło, ukrył twarz w dłoniach i zaniósł się śmiechem.

Holly odwróciła się ku niemu przepelniona wściekłością.

- Jak możesz się z tego śmiać? Do cholery, to wcale nie jest śmieszne!

- Owszem, jest - odparł, kiedy w końcu odzyskał głos. - To jakaś histeria.

- Nie wyjdę za ciebie.

- Pomyśl o tych biednych, bezbronnych zwierzątkach, które zginą, jeśli tego nie zrobisz.

- To jest...

- Tom dobrze wiedział, co robi. Doskonale wyczuł, które z nas będzie bardziej odporne i nie zechce podporządkować się jego planom.

- Czy usiłujesz przez to powiedzieć, że chcesz się ze mną ożenić?

Skye odchylił głowę, jakby się nad czymś zastanawiając. Obrzucił ją taksującym spojrzeniem. Poczwała się upokorzona.

- Może nie myślałem akurat o małżeństwie, ale wydaje mi się, że chyba mógłbym to przeżyć.

Holly dumnie uniosła głowę.

- Ja, niestety, nie.

- Zwłaszcza że miałyby ono trwać tylko sześć miesięcy - uściślił Skye.

- Możesz sobie darować ten uśmieszek. To przecież poważna sprawa. Złożyliśmy przysięgę. Obiecaliśmy człowiekowi leżącemu na łożu śmierci spełnić jego rolę.

Dla mnie to nie jest fakt bez znaczenia.

Ich spojrzenia się spotkały. Trwali tak przez chwilę, w końcu Skye odwrócił wzrok. Był wyraźnie speszony.

- Dla mnie też nie - powiedział poważnie.

Geoffrey Bolton skierował się do drzwi.

- Pozwolicie państwo, że zostawię was na parę minut. Przedyskutujecie sobie tę sprawę w cztery oczy.

- Ależ nie ma potrzeby, by pan wychodził - zaczęła Holly, ale drzwi już się za nim zamknęły.

Zostali sami. Nieoczekiwanie w ciągu ostatnich kilku chwil Skye wydał się jej dużo większy. Nie zdawała sobie sprawy, jaki jest wysoki i szeroki w barach. Wolałaby, żeby nie był aż tak atrakcyjny. Ni stąd, ni zowąd opanowało ją zdradzieckie, a biorąc pod uwagę sytuację, zupełnie nie na miejscu pragnienie, by zanurzyć dłonie w jego gęstych ciemnych włosach i odgarnąć je z jego uwodzicielskiej, nieco surowej twarzy. Ze złością odsunęła od siebie te natrętne

myśli.

- Trudno mi uwierzyć, że nie maczałeś w tym palców. Skąd mam wiedzieć, czy razem sobie tego nie obmyśliliście? Pewnie sądziłeś, że dam się na to złapać, że ze względu na Willy'ego Hessa poślubię kogoś, kogo nie znam. Może przypuszczałeś, że szukam męskiej opieki, zwłaszcza prawnika, albo wpadła ci do głowy inna podobna bzdura. Więc oświadczam ci, że nie.

Hess nie żyje. A ja nie potrzebuję ani ciebie, ani dziadka, ani nikogo innego.

- Kim był Willy Hess?

Zamrugła powiekami. Jego pytanie zabrzmiało absolutnie szczerze. Do tej pory była pewna, że dziadek opowiedział mu, co przeżyła.

- Czy on ma coś wspólnego z tym mężczyzną, o którym wspominał w liście Tom? - zapytał Skye, kiedy Holly nie odpowiedziała.

Jest bystry, przyznała z niechęcią.

- Nie chcę o tym mówić.

Minęło już tyle czasu, aledla niej to ciągle był trudny temat. Było jeszcze coś - wspomnienia, te, o których starała się zapomnieć, i te, których się pozbyła.

- Poza tym nie o to teraz chodzi. W tej chwili naszym problemem jest dziadek, odgrywający zza grobu rolę swata.

- Holly, przysięgam, że nie miałem z tym nic wspólnego. Jestem nie mniej wściekły niż ty. Nigdy wcześniej nie słyszałem ani słowa na temat tego kretyńskiego planu.

- Tom wspominał mi, że miałeś chęć na naszą ziemię. W końcu

żyją tu bażanty, cieciorniki, sarny, elki, niedźwiedzie, może nawet antylopy. Rzeki i strumienie przepływające przez nasze tereny są pełne pstrągów i troci. W jeziorze są okonie. Mnóstwo różnych ryb, których nawet nie potrafię nazwać.

Piękne stworzenia. Wszystko żyje i ciągle się mnoży.

I czeka, kiedy nadejdiesz, by zabić.

Skye westchnął głęboko.

- Nie zabijam ryb. Puszczam je wolno. Jeśli tylko mogę, uwalniam złapane ptaki. Pociąga mnie polowanie, nie mordowanie zwierząt.

- To krwawy sport. Nierozłącznie związany z agresją i gwałtem.

- Chętnie porozmawiam z tobą na ten temat przy innej okazji, ale teraz chyba chodzi o coś innego niż polowanie.

- Nie - odrzekła i wargi jej zadrżały.

- Jak to?

- Bo ciągle mam wrażenie, jakby to na mnie polowano. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale czuję się tak od chwili, kiedy nocą wynurzyłeś się z ciemności i uwiozłeś mnie stamtąd na swoim koniu.

Ma rację, pomyślał w duchu Skye. Pragnąłem jej wtedy. I teraz też.

Ale czy to wystarczy, by się z nią ożenić?

Chyba jestem tak samo szalony jak Tom, skoro zaczynam się nad tym zastanawiać.

Zielarka. Co, do diabła, możemy mieć ze sobą wspólnego?

Jestem myśliwym. Oboje kochamy naturę.

Przecież ona cię nie chce. Czy naprawdę myślisz, że

kiedykolwiek mogłoby dojść do skonsumowania tego małżeństwa?

Do cholery. Przecież już nie raz udało mi się zaciągnąć do łóżka najbardziej odporne kobiety.

Jest bezbronna. Ten romans skończy się klęską - skrzywdzisz ją, a sam znienawidzisz siebie za to, co zrobiłeś.

Nie, tym razem nie. Przecież obiecałem Tomowi!

Powiedziałem, że zaopiekuję się jego wnuczką.

Dotrzymuję obietnic.

To mogłoby być polowanie, gdyby udało się ją zdobyć. Kto wie, może najtrudniejsze z tych, jakie do tej pory miał za sobą.

Trudno oprzeć się takiej pokusie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

To był pierwszy wieczór od śmierci dziadka, który spędzała sama. Tamtej pamiętnej nocy zostały z nią kobiety biorące udział w spotkaniu. Kilka przyjaciółek przybyło z Arizony, by wziąć udział w pogrzebie. Dziś rano, tuż przed jej spotkaniem z adwokatem, po czułych pożegnaniach, wróciły do domu. Pozostawiły po sobie taką ilość przeznaczonych do odgrzania potraw, że przez miesiąc może nie gotować.

Usiadła przed kominkiem w salonie ogromnego, starego domu dziadka i zapatrzyła się w płonący ogień.

Mroczne, wykończone drewnem pomieszczenie bardziej przypominało pokój myśliwski niż salon. Ogromny łeb jelenia z imponującym porożem zdobił ścianę nad kominkiem. Na górze biblioteczki rzędem pyszniły się wypchane i drewniane kaczki. Na ścianach szczyrzyły zęby paszcze wyjątkowo okazałych pstrągów,

będących myśliwskimi trofeami dziadka.

Zazwyczaj podobne widoki budziły w niej wstręt, ale w stanie, w jakim się teraz znajdowała, wszystko było jej obojętne. Opłakiwała utraconego bezpowrotnie najbliższego człowieka. Łzy strumieniami płynęły jej po policzkach.

Stukanie do drzwi przywróciło ją do rzeczywistości.

Dom był na odludziu, nie mieli sąsiadów.

- Kto tam? - zawołała, pospiesznie ocierając łzy.

- Otwórz, Holly, to ja - rozległ się jakby znajomy głos. - Skye.

- Czego chcesz? - zapytała, wiedząc, że nie zabrzmiało to grzecznie, ale w końcu czego Skye mógł się spodziewać?

- Powinniśmy porozmawiać.

Ociągając się, otworzyła drzwi. Skye stał na progu, wysoki i potężny, promieniujący męską siłą; zdawał się wypełniać sobą całe wąskie przejście. Był w niebieskiej dżinsowej kurtce, czarnej roboczej koszuli i znoszonych spodniach. W ciemnoniebieskich oczach czaiło się coś nieokreślonego, tajemniczego. Lekki uśmiech dodatkowo podkreślał zmysłowe usta.

Właściwie dlaczego nie miałyby za niego wyjść? przemknęło jej przez myśl.

Skye wszedł do środka i rozejrzał się wokół.

- Czyżby wszystkie twoje nawiedzone przyjaciółki już cię opuściły?

- Tak - odrzekła, wprowadzając go do salonu, w którym z pewnością czuł się jak u siebie. Możliwe, że któraś z tych kaczek padła od jego kuli. - Większość z nich ma swoje rodziny albo prowadzi sklepy czy pracownie. Nadeszła pora, by wróciły do swoich

zająć.

Będę musiała jakoś przyzwycząić się do tego, że jestem sama.

- Niekoniecznie - uśmiechnął się Skye.

- Nie zaczynajmy znów tego tematu - poprosiła Holly.

Skye rozsiadł się w stojącym na wprost kominka fotelu, wyciągnął przed siebie muskularne nogi. Nosił kowbojskie buty. W niczym nie przypominał wziętego wielkemiejskiego prawnika. Co sprawiło, że tak szybko przeistoczył się w lokalnego stróża porządku?

- Zastanawiałem się nad tym - zaczął Skye - i doszedłem do wniosku, że nie mamy wyjścia. Chodzi o słowo dane umierającemu. Nieźle nas podszedł ten stary lis.

- Słuchaj, żyjemy w dwudziestym wieku. Zbliża się dwudziesty pierwszy. Przecież to zupełny absurd. Nie można nikogo zmusić do małżeństwa.

- Zdziwisz się, ale niestety to ciągle się zdarza.

Wszędzie. Nadal w wielu kulturach panuje przekonanie, że młodzi ludzie nie potrafią dokonać odpowiedniego wyboru i decyzję podejmują za nich starsi, bardziej doświadczeni rodzice. - Umilkł na chwilę, po czym dodał: - To dlatego mamy tyle rozwodów.

- Zgoda, ale my nie jesteśmy znowu tacy młodzi.

A mój dziadek nie zawsze potrafił dokonać trafnego osądu.

- Nie?

- Uwielbiałam go i bardzo mi go brakuje, ale on był z natury romantykiem. Bóg jeden wie, jak to się działo, że mimo tylu nauczek, jakie dostał w życiu, do końca wierzył w szczęśliwe zakończenia. W pewnym sensie w głębi duszy pozostał naiwnym dzieckiem.

- Obawiam się, że go nie doceniałaś. Zdawał sobie sprawę z tego, że umiera. Pogodził się z tym. Chciałbym kiedyś mieć tyle odwagi co on.

Typowa męska reakcja, pomyślała Holly. Tak jakby najważniejszą rzeczą w życiu było wykazanie się odwagą w obliczu śmierci. Ciekawe, czy polowanie też ma z tym coś wspólnego? Ernest Hemingway, niecofa-nie się przed nacierającym nosorożcem i tym podobne rzeczy?

- Nie umiał radzić sobie z rzeczywistością. Brakowało mu praktycyzmu. Ten dom, życie, jakie prowadził, polowanie, łowienie ryb... to wszystko było tylko ucieczką. Sprawy finansowe przerastały go, podobnie nie układały mu się stosunki z ludźmi. Nie miał pojęcia, jak żyć w takim świecie - ciągnęła z goryczą i rozdrażnieniem, którego nie mogła pohamować.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że jest zła na dziadka za to, że umarł!

- A ty? - zapytał Skye. - Czy ty wiesz, jak żyć w tym świecie?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zaciekawilo mnie coś i poszperałem trochę, by dowiedzieć się czegoś na temat Willy'ego Hessa.

Skrzywiła się. Do diabła!

- Opowiesz mi o nim?

- Chyba już sam wszystko wiesz.

- Może nie do końca. Wiem, że uciekł z więzienia i prześladował cię. Ma na koncie niezłą kolekcję przestępstw: ucieczkę, naruszenie nietykalności osobistej, napad z bronią w rękę, branie zakładników, sprzeczne z prawem ograniczenie wolności... -

umilkł.

- Wiem również, że zabił się na twoich oczach, kiedy wpadł w zasadzkę i został osaczony przez policję.

Holly skrzyżowała ramiona. Zadrżała.

- To musiało być straszne - miękko dodał Skye.

- Nie powinno było do tego dojść. Willy był brutalnym, wielokrotnie skazywanym przestępcą. Powinien pozostać w więzieniu, z dala od społeczeństwa, by już nikomu nie mógł zagrozić. Ale zamiast tego dostawał zwolnienia warunkowe i znów wracał na ulicę. To jest straszne, chyba się ze mną zgodzisz?

Sposób, w jaki w Ameryce funkcjonuje prawo.

- System nie jest doskonały...

- Jest do niczego! Dopiero po wielu dokonanych przestępstwach skazano go na dożywotnie więzienie bez prawa wcześniejszego zwolnienia. Ale nawet to go nie powstrzymało. Udało mu się zbiec z więzienia.

Znów zaczął mnie prześladować. Na długi czas moje życie zamieniło się w koszmar. Szczerze ci powiem, że ani prawo, ani policja w Arizonie nie zapewniły mi bezpieczeństwa.

- Czy dlatego przenieśliś się do Montany?

Holly westchnęła głęboko.

- Głównym powodem była choroba dziadka, ale masz rację, nie chciałam dłużej mieszkać w Arizonie.

Nawet po śmierci Willy'ego nie mogłam spać, ciągle zdawało mi się, że słyszę jakieś hałasy. Kiedy szłam ulicą, bez przerwy oglądałam się za siebie. Czułam się jak ścigane zwierzę. - Przechyliła w bok głowę i przyjrzała mu się badawczo. - Hess też był myśliwym.

Nawet jesteś do niego trochę podobny.

Skye zmrużył oczy, bruzdy wokół jego ust pogłębiły się. - Holly, przestań. Jestem jednym z tych porządnych facetów.

Ogień na kominku przygasł. Holly dołożyła polano, płomień rozgorzał na nowo, na ścianach zatańczyły cienie.

- Wcale nie jestem tego taka pewna - wyszeptała zapatrzona w czerwone i złote iskierki dziewczyna.

Nieoczekiwanie stanął tuż za nią, położył dłonie na jej ramionach. Odwróciła się pospiesznie ku niemu.

Był wściekły, widziała to w jego oczach. Usiłowała wmówić sobie, że nic jej to nie obchodzi.

- Odejdź ode mnie!

Cofnął ręce, ale stał tak blisko, że poczuła się zagrożona.

- Słyszałem, co powiedziałaś. Żądam przeprosin.

Holly w milczeniu pokręciła głową.

- Słuchaj, rozumiem, że jesteś pogrążona w rozpacz i przestraszona. Ale poświęciłem bardzo wiele czasu na unieszkodliwianie łobuzów takich jak Willy Hess i nie życzę sobie, by mnie z nimi porównywano!

Holly zagryzła usta, przepełniło ją poczucie winy. Skye miał rację. Od pierwszej chwili traktowała go niesprawiedliwie. A teraz zachowała się wyjątkowo niegrzecznie.

- Staralem się, jak tylko mogłem, by ci jakoś pomóc w czasie tych kilku ostatnich dni, ale nawet nie usłyszałem słowa: dziękuję - dodał Skye. - Jak powinienem to nazwać?

- Masz rację, przepraszam - odrzekła.

Czuła się fatalnie. Rzeczywiście pomógł jej przy załatwieniu

wszystkich formalności związanych z pogrzebem, skontaktował się ze znajomymi dziadka, o których istnieniu nie wiedziała. Zatrzaszczył się nawet o jedzenie.

Nadal był zły.

- Nie mogę odpowiadać za pomysły Toma. Ja też czuję się podobnie jak ty. Czy naprawdę uważasz, że jestem zachwycony narzucaniem mi żony? Przez trzydzieści sześć lat szczęśliwie udało mi się uniknąć małżeństwa.

Zerknęła na niego kątem oka. Stał zachmurzony, z zaciśniętymi ustami. Podobały się jej jego wąsy. Jak to by było, gdyby ją pocałował, zastanowiła się i szybko odsunęła od siebie tę myśl.

- I uważasz to za powód do dumy? - zapytała.

Dałaby głowę, że zarumienił się, słysząc te słowa.

- Nie, oczywiście, że nie. - Przez chwilę bawił się zegarkiem. - A zresztą może tak. Kiedyś pewnie tak było.

- Doszły mnie różne plotki na twój temat. Podobno masz na koncie niemało złamanych serc.

- To śmieszne - zachmurzył się.

- Tak?

- Od jakiegoś czasu z nikim się nie spotykam.

W przeszłości było wiele kobiet, przede wszystkim dlatego, że były zbyt mądre, by zostać ze mną na dłużej. Nie jestem taki wspaniały, uwierz mi.

Wzbudził jej ciekawość, ale nie chciała go wypytywać.

Potargał dłonią włosy, kilka razy przemierzył pokój. - Rzecz w tym, że ja chyba nie potrafię zrozumieć kobiet. W moim życiu najważniejsza jest samotność, potrzeba mi tego. Ciężko pracuję, a

moje rozrywki: polowanie i łowienie ryb, są typowo męskie. Jestem człowiekiem niezależnym, polegam tylko na sobie.

Unikam zbytnich zbliżeń z innymi ludźmi. Kobiety nie potrafią tego zaakceptować.

Zdumiewał ją. Mówił rzeczowo i poważnie, z ogromnym zaangażowaniem, w sposób, jaki zapewne podobał się kobietom. Z drugiej strony, przypomniała sobie, dopiero zaczynali się poznawać. Prawdopodobnie chciał się jej zaprezentować od najlepszej strony.

- Czasami doskwiera mi samotność - ciągnął Skye.

- Zwłaszcza ostatnio. Był ktoś, kto wiele dla mnie znaczył. Wydawało mi się, że to coś poważnego, że kocham ją. Ale czekałem za długo, nim zacząłem myśleć o trwałym związku, o małżeństwie. Może gdybym doszedł do tego parę lat wcześniej, wtedy kiedy ona tego chciała... Skończyło się tym, że nie chciała zrezygnować ze swojej odpowiedzialnej pracy, nie chciała tracić czasu na dzieci. Ani dla mnie.

Powiedział to z goryczą. Wiedziała, że to szaleństwo, ale na chwilę ogarnęło ją pragnienie, by zrobić coś, co rozwiałoby jego smutek.

- Więc dziadek miał rację? Chcesz...

- Sam, do diabła, nie wiem, czego naprawdę chcę - odrzekł, odchodząc w kąt pokoju.

Przez chwilę zastanawiała się w milczeniu nad tym, co usłyszała. Po raz pierwszy zobaczyła go w innym świetle. Miał swoje problemy, targały nim wątpliwości.

Właściwie przez to chyba bardziej go polubiła.

- Jaką kwotę mój dziadek pożyczył od ciebie?

Podszedł bliżej i potrząsnął głową.

- To nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma. Chciałabym spróbować spłacić dług.

- Tom nie żyje, a dla mnie sprawa jest zamknięta.

- Ile, Skye?

- Słuchaj, zostawmy to. Poradzę sobie bez tych pieniędzy, stać mnie na to. Ciebie nie. Zapomnijmy o pieniądzach, zgoda?

- Ziemia, którą ci zapisał, jest pewnie warta jakieś kilkaset tysięcy dolarów. Chyba nie pożyczył od ciebie aż tyle?

Skye nic na to nie odpowiedział. Ale nim odwrócił wzrok, wyczytała w nim milczące potwierdzenie. O Bo że! przeraziła się.

- Był chory na raka - cicho powiedział Skye - leczenie jest bardzo kosztowne, a on nie miał ubezpieczenia. Właściwie w pewnym sensie miałaś rację, kiedy mówiłaś, że był niepraktyczny.

- Powiedział mi, że jest ubezpieczony!

- Nie chciał cię denerwować. Teraz, kiedy dowiedziałem się o tym Hessie, rozumiem go. Tom był wyjątkowo opiekuńczy w stosunku do ciebie. Wiedział, że ty także masz swoje problemy.

Holly osunęła się na kanapę.

- Był ci winien kupę forsy i tylko w jeden sposób mógł ci spłacić dług. - Bezwiednie przyciągnęła do siebie poduszkę i przycisnęła ją do siebie. - Stwierdzam to z żalem, ale zapisując ci ziemię, postąpił uczciwie.

- Nie, postąpił jak szaleniec. Nie zajmuję się sprawami spadkowymi, ale mam znajomych, którzy mogą nam pomóc. Obalimy testament i cały problem zostanie rozwiązany.

- Nie - odrzekła z mocą Holly, odwracając się ku niemu. -

Daliśmy słowo. Zawdzięczam dziadkowi bardzo wiele. Wyjdę za ciebie, Skye. Na sześć miesięcy.

Taki był warunek. Potem podzielimy majątek w taki sposób, byśmy oboje byli zadowoleni.

Skye oparł się o ścianę, skrzyżował ręce na piersi.

Z wyrazu jego twarzy trudno było sądzić, czy jest zadowolony, czy rozczarowany.

- Może nie będzie tak źle - dodała Holly. - Myślę, że zniosę wszystko, wiedząc, że nie będzie to trwało dłużej niż sześć miesięcy. - Wzięła głęboki oddech, chwilę milczała, jakby rozważając coś w duchu, wreszcie wyrzuciła z siebie: - Ale nie będę z tobą spać.

Obiecaj mi, że nie będziesz próbował wpłynąć na zmianę mojego postanowienia.

Uff, pomyślał Skye. Tego się nie spodziewał.

Chyba powinien trochę się potargować. Możliwe, że ona nic do niego nie czuje, ale zrobiła na nim ogromne wrażenie już w pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał. W dodatku podobała mu się coraz bardziej. Jest dumna i niezależna, ma te swoje zwariowane poglądy, ale jednocześnie jest szlachetna i uczciwa - dotrzymuje danego słowa, nie chce zostawić nie spłaconych długów. To jeszcze bardziej go ujęło. Do diabła, odkrywał u Holly coraz więcej cech, które mu się podobały.

Była dziwnie bezbronna, co chwytало go za serce.

Teraz, kiedy wiedział o tym Willym, lepiej rozumiał jej zachowanie. Osoby, które padły ofiarą przestępców, uczą się nie ufać ludziom. W ten sposób czują się pewniej. Podświadomie wiedział, że właśnie poczucia bezpieczeństwa Holly potrzebuje najbardziej.

Może nie jestem w stanie dać jej wiele, pomyślał, ale przynajmniej to mogę jej zapewnić. Jeśli jakiś łobuz jeszcze raz spróbuje się do niej przyczepić, będzie mieć ze mną do czynienia.

Podszedł do niej bliżej, zdając sobie sprawę, że stojąc, ma nad nią pewną psychologiczną przewagę.

- Nie zgadzam się na twój warunek. Jeśli się pobierzemy, to będzie to normalne małżeństwo. W testamencie była mowa o małżeństwie w pełnym sensie tego słowa.

- Ale to nie miało znaczyć...

- Miało. To oznacza, że będziemy sypiać ze sobą.

Holly zarumieniła się lekko.

- Nie znam twoich zwyczajów, ale ja nie chodzę do łóżka z nieznajomymi.

- Ja też nie. Wysłuchaj mojej propozycji. Pobierzmy się jak najszybciej, by zacząć odliczanie tych sześciu miesięcy. Zgodnie z warunkami testamentu zamieszkamy razem. Dom jest taki duży, że dla każdego z nas wystarczy miejsca. Zaczniemy od osobnych sypialni.

Musimy się poznać. - Uśmiechnął się do niej. - Będę się do ciebie zalecać.

Odwróciła wzrok i zapatrzyła się w ogień. Nic na to nie odpowiedziała. W każdym razie nie zaprotestowała, pomyślał Skye.

- Nie mam zamiaru do niczego cię zmuszać - ciągnął. - Ale chcę ciebie, Holly. Nie będę temu zaprzeczać.

Wiem, że przeżywasz śmierć dziadka, i szanuję twój ból. Przypuszczam, że teraz przed nikim nie mogłabyś się otworzyć. Nie będę natarczywy, ale też nie dam ci spokoju. I mam nadzieję, że w

końcu dopnę swego.

Holly nawet nie drgnęła. Siedziała w milczeniu, a w blasku ognia na ścianie odbijał się jej delikatny, nieruchomy cień.

- Słuchałaś mnie?

Odwróciła się ku niemu. Ze zdumieniem dostrzegł, że jej ogromne zielone oczy były pełne łez.

- Tak, słuchałam. Mówiłeś jak myśliwy, który już z góry cieszy się na samą myśl o polowaniu.

- Holly...

- Ale co będzie później, kiedy już mnie upolujesz?

Co wtedy się stanie? Sześć miesięcy akurat wystarczy dla ludzi, którzy mają ze sobą tak mało wspólnego jak my. A potem odejdziesz.

- Więc o co chodzi? - powiedział, zmuszając się, by zabrzmiało to ostro. - Przecież parę minut temu cieszyłaś się, że nie będziesz musiała tolerować mnie dłużej niż sześć miesięcy.

Holly bez słowa potrząsnęła głową. Chodziło o jeszcze coś innego, zdał sobie sprawę Skye. Coś bardziej skomplikowanego, ukrytego głęboko w psychice dziewczyny.

- Czy myślisz o Hessie? - Holly nie odpowiedziała.

- W policyjnym raporcie nie było wzmianki o gwałcie - powiedział spokojnie, ale wiedział, że dziewczyna odbierze to jako pytanie.

- Jeśli chcesz wiedzieć, czy o to mu chodziło, to odpowiedź brzmi: tak - odrzekła, krzyżując ręce na piersi. - Jeśli chcesz też wiedzieć, czy miało to na mnie wpływ i czy nie utrudniło mi normalnego kontaktu z mężczyzną, to również odpowiem: tak. Od kiedy to się stało, nie byłam z nikim. I nie jestem pewna, czy

chciałabym tego.

- No cóż. - Zawstydził się swojej niedelikatności.

- Potrzeba ci czasu - powiedział zmieszany. - Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś. Wiem, że czasami nie jestem zbyt subtelny. Ale umowa stoi. Zamieszkamy pod jednym dachem, choć osobno. Poczekamy cierpliwie. Do diabła, ja też już od dawna jestem sam.

Chyba, hm, jestem przyzwyczajony.

Wydało mu się, że usłyszał jej cichy śmiech. To go ośmieliło.

- Zresztą kto wie, co z tego wyniknie? Może skończy się tak, że nie będziemy mogli na siebie patrzeć. A może świetnie nam się ułoży? Może nawet zakochamy się w sobie i wtedy już nie będziesz musiała się o nic martwić. Będziemy razem aż do śmierci. No, nie patrz na mnie tak sceptycznie. Wszystko jest możliwe.

Holly uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Jest piękna, kiedy się tak uśmiecha, pomyślał Skye.

- Zaczynam podejrzewać, że w głębi duszy jesteś takim samym nieuleczalnym romantykiem jak mój dziadek.

- Taki nieprzystępny stróż porządku jak ja romantykiem? Nie ma mowy - zaprzeczył stanowczo, czując, że napięcie, jakie do tej pory istniało między nimi, opadło. Zawsze wiedział, kiedy udawało mu się przekonać sędziego i ławę przysięgłych. Teraz było podobnie.

- Zostawmy sprawy ich własnemu biegowi. Żadnych obietnic. Spróbujmy sobie zaufać. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Może to będzie dla nas niespodzianka.

Holly podniosła się i popatrzyła na niego.

- Jest wiele rzeczy, które mnie gnębią i o których chętnie bym zapomniała. Boję się, by to nie miało na ciebie wpływu, jeśli się

pobierzemy. Za nic bym tego nie chciała.

To poruszyło go bardziej niż wszystko, co do tej pory usłyszał. Mówiła szczerze, był tego pewien.

Dręczyła się myślą, że obciąży go swoimi problemami.

Przepełniło go pragnienie, by wziąć ją w ramiona, ofiarować jej miejsce, gdzie mogłaby się schronić.

Z trudem się opanował. Nie chciałby, aby uznała to za niewczesny gest.

- Zaryzykuję, Holly. I postaram się uczynić wszystko, byś zapomniała o tym, co się wydarzyło w przeszłości. Przyjęła to z taką ulgą, że przez moment niemal czekał, że to ona go uściśnie. Była tak blisko niego, że czuł jej zapach. Stała wyprostowana i patrzyła na niego stanowczo, ale było coś niesłychanie miękkiego w zarysie jej dolnej wargi, jakaś kruchość i bezradność w wygięciu szyi. Tak bardzo chciałby porwać ją na ręce, zanieść na górę, kopniakiem otworzyć drzwi jakiejś przytulnej sypialni, ułożyć na łóżku i rozebrać.

Potem ukoić jej lęki, odegnać wszystkie obawy. Mógłby to zrobić, wiedział o tym. Pragnął jej coraz bardziej.

- Dobrze - odrzekła Holly, a on przez jedną szaloną chwilę miał nadzieję, że odczytała jego myśli.

- Ja też zaryzykuję. Wyjdę za ciebie, szeryfie. Jutro rano pojedziemy do miasteczka załatwić formalności.

Możesz wprowadzić się do mojego domu. Znajdę ci przyjemny pokój w drugim skrzydle.

Skye uśmiechnął się jak uczeń.

Polowanie się rozpoczęło.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy myślała o zbliżającym się ślubie, w pewnym sensie czuła się trochę jak Persefona w świecie podziemi. Którejś nocy zstąpił po nią Skye Rawlins, uwiózł do swojej krainy na czarnym wierzchowcu i teraz nie ma innego wyjścia, jak zostać jego żoną i przez sześć miesięcy mieszkać z nim pod wysokim niebem Montany, wśród roślin zmrożonych na polach chłodnym jesiennym powietrzem.

Ale pod koniec marca odzyskam wolność, pocieszy ła się w duchu. Wraz z nadejściem wiosny. Gdy pędy polnych kwiatów przebija się przez rozmiękłą w słońcu ziemię, skończy się moja niewola.

Rankiem w dzień poprzedzający ślub, który miał być jedynie skromną formalnością, Skye przywiózł pierwszą partię swoich rzeczy. Razem z nim ciężarówką przyjechał kolega, Jake Cartwright, wysoki, dobrze zbudowany, przystojny blondyn z wąsami. Był niemal tak atrakcyjny jak Skye. Okazuje się, że w tych stronach mieszka wielu interesujących mężczyzn. Coraz mniej tęskniła za Arizoną.

- Może już się znacie? - zapytał Skye. - Jake jest tutejszym chirurgiem. Twój dziadek powinien był się z nim skontaktować, gdyby miał więcej zdrowego rozsądku.

Holly skinęła głową, kiedy Cartwright uprzejmym gestem uchylił kapelusza. Lekarz, przemknęło jej przez myśl. Jak to się dzieje, że ci tutejsi fachowcy wyglądają raczej jak kowboje?

- Chyba nie mieliśmy przyjemności - odrzekł Jake.

- Miło mi panią poznać. Znałem pani dziadka. Bardzo go

lubielem. Proszę przyjąć moje kondolencje.

- Dziękuję. Przyjechał pan pomóc Skye'owi przewieźć rzeczy?

- Tak. To mój samochód. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się, iż dożyję tego dnia. Stary Skye, w końcu i on wpadł!

- Pan nie jest żonaty, doktorze Cartwright?

- Nie. Skye i ja jesteśmy resztką starej gwardii.

Przykro to mówić, ale żadna kobieta nie mogła z nami wytrzymać.

Przeczuwała, że tak naprawdę było zupełnie inaczej.

To oni wcale nie mieli zamiaru z kimkolwiek wytrzymać.

Ze zdziwieniem popatrzyła na wyładowany po brzegi samochód.

- Strasznie dużo rzeczy - stwierdziła.

- To dopiero początek - pocieszył ją Skye, wyładowując razem z Jakiem solidne podwójne łóżko, nieco zniszczoną, ale wyglądającą na wygodną kanapę obitą kasztanową skórą, kilka kartonów z książkami i różnościami, w końcu kosztowną wieżę stereo i cztery ogromne kolumny.

Ale największe zaskoczenie sprawił jej widok młodego psa o złocistej sierści, który nieoczekiwanie wyskoczył z ciężarówki.

- Nie miałam pojęcia, że masz psa - ucieszyła się Holly, z uśmiechem przyjmując radosne powitanie skaczącego radośnie i podającego łapę zwierzaka.

- Mam nadzieję, że lubisz psy.

- Uwielbiam! Jak on się nazywa?

- Barnaby. W skrócie Barny. Och! - krzyknął, widząc, że Holly nie przestaje drapać psiaka za uchem i nadstawia mu twarz do

lizania. - Rozpuścisz go całkiem. Barny, spokój! Chodź do mnie!

Holly wybuchnęła śmiechem, kiedy pies nawet nie zareagował.

- Świetnie go wyszkoliłeś!

- Jest jeszcze młody. Ma dopiero rok. Przez kolejne kilka tygodni będę go tresować. Wyrobi się.

Jej uśmiech zgasł.

- Chcesz go układać do polowania?

- Holly, przecież to złoty retriewer, pies myśliwski.

Zaproponowała im pomoc przy noszeniu rzeczy, ale nie zgodzili się na to.

- To jest dla ciebie za ciężkie. Mogłabyś sobie zrobić krzywdę - wyjaśnił Skye z typowym męskim zadufaniem.

W porządku, mam zajęcie, zioła na mnie czekają, pomyślała Holly.

Za drugim razem przywieźli przede wszystkim sprzęt biurowy - szafki na dokumenty, antyczne biurko, kilka nowoczesnych stolików, komputer, drukarkę, ksero, dwa telefony i faks. Złożyli to wszystko w bibliotece dziadka.

- W Los Angeles przyzwyczailem się do korzystania ze zdobyczy nowoczesnej techniki - uśmiechnął się Skye. - To ułatwia ściganie przestępców.

Przywieźli też osobiste rzeczy Skye'a i ubrania.

Między nimi było kilka eleganckich garniturów.

W Los Angeles musiał się tak ubierać, choć trudno jej było to sobie wyobrazić. Dzinsy i skóra chyba bardziej do niego pasowały.

- Ile tego jeszcze jest? - zapytała, kiedy znów wsiadali do ciężarówki.

- Jeszcze chyba tylko raz obrócimy.

Kiedy Skye wrócił, tym razem sam, bo do wniesienia pozostały już tylko lekkie rzeczy, doszło do ich pierwszej sprzeczki. Początkowo Holly w milczeniu przyglądała się nieprawdopodobnej ilości sprzętu wędkarskiego, który wyciągał z samochodu. Przeznaczenia wielu przedmiotów wcale nie знаła. Wędki, kołowrotki, sztuczne przynęty, siatki, specjalne stroje. Zupełnie jakby wykupił wszystko, co było w katalogu.

- Czy naprawdę potrzebujesz aż tylu rzeczy, by złapać głupią, niczego nie podejrzewającą rybę?

- Zawsze chcę złapać te najbardziej zmyślne - uśmiechnął się Skye. - Prawdę mówiąc, większości z tych rzeczy nigdy nie używam, ale zawsze trzeba być przygotowanym. Na wszelki wypadek. Dopiero byłbym na siebie wściekły, gdyby umknął mi ogromny pstrąg tylko dlatego, że nie zabrałem siatki.

- To nie jest w porządku. Cały nowoczesny arsenał przeciwko biednym rybom.

- Nawet najlepszy sprzęt nie pomoże złemu rybakowi. Któregoś dnia zabiorę cię ze sobą, może do Big Horn. Wtedy sama się przekonasz.

- Dziękuję, obejdzie się.

Zaczął wyładowywać jakieś długie, wąskie przedmioty. W pierwszej chwili przyszło jej na myśl, że to kolejne wędki, dopiero potem dotarło do niej, że to karabiny. Albo strzelby. Najpewniej jedno i drugie. Oparła ręce na biodrach, zagroziła wejście do domu.

- Zawieź to z powrotem tam, skąd wzięłeś. W moim domu nie będzie żadnej broni.

- Przecież jestem szeryfem, zapomniałaś o tym?

- Poza pijanymi nastolatkami i przekraczającymi dozwoloną prędkość kierowcami nie ma tutaj innych osób łamiących prawo. Nie potrzebujesz używać broni. - Służy mi do polowania - przyznał.

- Tak właśnie przypuszczałam. Wywieź ją stąd.

- Przykro mi, ale nie zostawię broni w pustym mieszkaniu. Ktoś mógłby się włamać i ukraść ją.

- To mnie nie obchodzi. Przecież możesz ją oddać na pół roku na przechowanie.

- Kochanie, problem polega na tym, że to jest właśnie ta połowa roku, kiedy broń jest mi potrzebna. Co innego, gdyby teraz była wiosna. Ale mamy jesień. Lada moment rozpoczyna się sezon łowiecki. Ślub nie ślub, nie mam zamiaru go zmarnować.

- Skoro ja mogłam zrezygnować z mojej wolności i prywatności, chyba mógłbyś przynajmniej w ciągu jednego sezonu zaniechać zabijania ptaków i zwierząt.

- Uff, Holly, nie mów takich rzeczy. Jestem myśliwym i wędkarzem. To część mojego życia, przywykłem do tego od dziecka. Taki jestem.

- Nie chcę mieć broni w domu - powtórzyła z uporem Holly.

- Więc jesteśmy w impasie. I co teraz mamy zrobić?

Odwołać ślub?

- To żaden ślub - parsknęła. - Prawdziwy ślub to uroczysta ceremonia. Mnóstwo przyjaciół i bliskich, miłość, nadzieja i radość. To, co nas czeka, to jedynie krótka formalność przed sędzią pokoju. Nie tak wyobrażałam sobie ślub.

Twarz Skye'a złagodniała.

- Przykro mi, że nie będzie to ceremonia, o której marzyłaś. Zaslugujesz na nią - powiedział powoli.

- Może będzie dla ciebie pociechą fakt, że ja również czuję się rozczarowany.

Zawsze potrafił zrozumieć jej uczucia, pomyślała z niechęcią Holly. Jest myśliwym, ale jednocześnie to człowiek wrażliwy.

- Teraz, jak sobie o tym myślę - dodał Skye, patrząc w zamyśleniu na trzymaną w ręku strzelbę - przyszło mi do głowy, że ten ślub jest szybki jak strzał z pistoletu.

Holly mimo woli wybuchnęła śmiechem.

Skye szybko skorzystał z chwilowej przewagi.

- Nie przejmuj się tą bronią. Nigdy nie jest naładowana, poza tym schowam ją tak, żebyś nie musiała jej oglądać. Ale znam twoje zdanie na temat amerykańskiego systemu prawnego. Mając pod ręką broń, mogę w dużo większym stopniu chronić naszą społeczność przed złodziejami i przestępcami.

Zawstydzona Holly usunęła się w bok, robiąc mu przejście.

Chociaż Skye przeniósł do niej swoje rzeczy, tego wieczoru jednak nie zapytał, czy może zostać na noc.

Poprosił ją tylko, by zechciała do rana zająć się psem.

Sam zamierzał spędzić wieczór z kolegami.

- To będzie kawalerski wieczór - uśmiechnął się.

Popołudnie spędziła przy swoich ziołach. Sezon właściwie już się kończył. Zebrała to, co jeszcze rosło, powiesiła powiązane do suszenia pęczki roślin, nastawiła nalewki. Była przez cały czas zajęta, ale jej myśli ciągle wracały do dziadka. Tak boleśnie odczuwała jego brak. Starła się opamiętać, powtarzała sobie, że powinna korzystać i

cieszyć się z ostatnich chwil wolności, ale wcale jej to nie pomagało.

Ostatni wieczór przed ślubem upłynął jej na zabawie z psem. Pieściła go, rzucała mu piłkę i patyki, wzięła nawet stary grzebień i wyczesła jego złocistą sierść. Barny był dużym, wesołym psiakiem. Miał nadzwyczaj wyraziste oczy. Holly szybko nauczyła się rozpoznawać, kiedy chce się bawić, jeść, spać czy wyjść na dwór. Wydawało się jej, że potrafi wyczytać z psich oczu całą gamę uczuć.

- Wiesz, Barny, zupełnie zapomniałam, że jesteś psem - roześmiała się w głos. - Zaczęłam cię traktować tak, jakbyś był ludzką istotą.

Barny radośnie pomachał ogonem.

Skye przywiózł mu owalny materacyk i czerwony kocyk. Rzucił go na podłogę w najdalszej, położonej na samym końcu korytarza sypialni, którą Holly mu przydzieliła. Kiedy nadeszła pora, by iść do łóżka, Holly zaprowadziła tam psa i wskazała mu jego posłanie. Barny obwąchał je uważnie, a próbując pomachał ogonem i okręciwszy się trzy razy w miejscu, położył się, zwijając się w kłębek.

- Dobry piesek. Teraz śpij.

Z głową złożoną na łapach Barny przyglądał się jej, jak opuszczała żaluzje i zaciągała zasłony. Ale gdy tylko zgasiła światło i wyszła z pokoju, podniósł się i podążył za nią. W jego oczach malowało się zaskoczenie i poczucie krzywdy.

Czy ty nie będziesz tu spać? zdawało się, że chce powiedzieć. Przecież chyba nie zostawisz mnie samego na noc w tej nieznannej, dziwnej sypialni?

- Mam nadzieję, że twój pan potrafi lepiej sobie z tobą radzić - pokręciła głową Holly, kiedy Barny godnie wkroczył do jej sypialni.

Obejrzał ją szybko, obwąchując wszystkie kąty, zwłaszcza narzutę na łóżku. - Tutaj nie będziesz spać - oznajmiła, bezskutecznie starając się, by jej stwierdzenie zabrzmiało stanowczo.

Jednak potrzebne jest mi jego towarzystwo, przyznała w duchu, kiedy Barny ułożył się na dywaniku przy jej łóżku i zamknął oczy.

Po chwili usnęła, wsłuchana w cichy oddech śpiącego obok zwierzęcia. Od śmierci dziadka to była pierwsza noc, kiedy opuściło ją dojmujące poczucie osamotnienia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- ...uroczyście oświadczam, że od tej chwili wobec prawa jesteście mężem i żoną.

Choć te słowa padły nie podczas radosnej uroczystości w zapełnionym rodziną i przyjaciółmi kościele, a w ponurym urzędowym pomieszczeniu, ich ciężar przytłoczył Holly. A więc już po wszystkim. Stało się.

Obok niej, trzymając w mocnym uścisku jej dłoń, stał Skye Rawlins. Obcy. Myśliwy. Jej mąż.

- Teraz może pan pocałować pannę młodą - dodał sędzia pokoju.

Zupełnie o tym nie pomyślała. O Boże! przeraziła się. Chyba jesteśmy jedyną młodą parą w całej Montanie, która aż do tej chwili nawet się nie całowała.

Skye pochylił się ku niej, posłusznie nadstawiła policzek. Delikatnie, na krótką chwilę dotknął jej ust, ale nim się cofnął, dostrzegła dziwny ogień w jego oczach. Do tej pory ukrywał to przed

nią, dopiero teraz się zdradził. Pragnął jej. Ale jeszcze bardziej zaskoczyła ją jej własna reakcja - gdzieś w głębi duszy też go pragnęła. Przez mgnienie trwali w oszołomieniu, jakby nie mogąc do końca uwierzyć w to, co nagle oboje sobie uświadomili.

Ten ślub wydawał się taki wykalkulowany, wymuszony warunkami testamentu. Aż do tej chwili nawet nie przeszło jej przez myśl, że mogą się z nim wiązać jakiegokolwiek uczucia. Przynajmniej ciągle tak zapewniała samą siebie.

Myliła się. Od początku było coś między nimi, jakaś nieuchwytna fascynacja. Nie chcę tego, instynktownie opierała się Holly. Nie poradzę sobie z tym.

Urzędnik chrząknął znacząco. To przywróciło ją do rzeczywistości. Dopiero teraz dotarło do niej, że oboje cały czas wpatrują się w siebie. Skye uśmiechnął się, odwrócił wzrok. Wie wszystko, pomyślała Holly. Już ma swoją zdobycz. Łatwo mu poszło.

Kiedy wyszli na dwór, oślepiło ich poranne słońce.

- Wiesz, tak bardzo żałuję, że dziadek nie doczekał tego dnia - westchnęła Holly, wsiadając do dzipa Skye'a. Za nic nie chciał jej tu przywieźć swoim służbowym policyjnym samochodem.

- Wiem. Ja też żałuję, że nie było nikogo z mojej rodziny.

Uświadomiła sobie, że właściwie nic nie wie o jego bliskich. Naprawdę go nie znała. Wyszła za całkiem obcego człowieka.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, kiedy Skye uruchomił silnik i wrzucił bieg.

- Pojedziemy do ciebie i przebierzemy się w coś wygodniejszego. Potem będzie niespodzianka.

- Jaka niespodzianka? Przecież wiesz, że czeka na mnie praca.

- Nie ma o tym mowy, kochanie. Przed chwilą wzięliśmy ślub. Mamy cudowny wrześnieowy poranek, wykorzystajmy to. Tu w Montanie zima przychodzi bardzo szybko i zwykle bywa ostra. Nie masz ochoty na małą przygodę?

Mówił z takim ożywieniem i entuzjazmem, że nie miała serca odmówić.

- Zgoda, czemu nie?

Na mgnienie zdjął rękę z dźwigni zmiany biegów i lekko uściskał jej lewą dłoń. Trwało to tak krótko, że nie zdążyła zareagować, ale w jej sercu znów pojawiło się to radosne uczucie, które wcześniej obudził jego pocałunek.

Skye zabrał ją do stadniny. Przebrani w dżinsy i wysokie buty pojechali tam, gdzie Skye trzymał konia. Dla Holly wybrano spokojną klacz, Misty.

- Dla mnie to będzie prawdziwa przygoda, bo nie mam pojęcia o jeździe konnej - oświadczyła Holly.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć, skoro wychowałam się w Montanie, ale w dzieciństwie rodzice pozwolili mi dosiąść konia zaledwie raz czy dwa razy.

- Ale kiedy jechałaś wtedy ze mną, zachowywałaś się zupełnie naturalnie - pocieszył ją Skye. - Na początek pokażę ci parę rzeczy, więc jedź za mną.

Potem wyjedziemy na wolny teren.

Holly szybko pojęła, o co chodzi. Wyprostowana, starając się maksymalnie luźno trzymać wodze, powoli podążała na swojej szaro cętkowanej klaczy za jadącym na swoim koniu Skye'em. Jechali wąską ścieżką, prowadzącą przez pachnący igliwiem las w stronę

rozciągających się nie opodal wzgórz. Barny radośnie obskakiwał konie.

To była prześliczna okolica - porośnięte lasami wzgórza wyraźnie rysowały się na tle majestatycznie wznoszących się w dali Gór Skalistych. Tutejsze krajobrazy były zupełnie nieporównywalne z tym, co Holly dotychczas widziała. Zdawało się, że ogromne, błękitne niebo dotyka ziemi, zlewa się z nią i zielonymi wzgórzami.

Czyste, rześkie powietrze pachniało jesienią. Minał już okres zbiorów, puste pola ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Drzewa płonęły złotem i czerwienią, jakby w przeczuciu nadchodzącej zimy bogactwem barw święciły swoje ostatnie tygodnie. Kiedy niespiesznie przemierzali teren, wokół słyszeli odgłosy krzątania drobnych zwierząt, zapobiegliwie zbierających zapasy, które pozwolą im przetrwać długą, srogą zimę.

Dróżka, którą jechali, wiodła pod górę. Otaczały ją gęste zarośla.

- Uważaj na gałęzie - ostrzegł ją Skye, odwracając się do tyłu.

W czasie jazdy wiele razy spoglądał za siebie, sprawdzając, jak Holly sobie radzi. Była mu za to wdzięczna. Barny niestrudzenie kursował między panem i nową przyjaciółką i nie przestając radośnie wymachiwać ogonem zawracał i zbaczał, przebywając znacznie dłuższą drogę niż pozostali.

Choć Misty była posłusznym i spokojnym wierzchowcem, Holly ciągle jeszcze czuła się niepewnie.

Prawie przez cały czas jechali stępą, ale chwilami zniecierpliwiony Diabło wpadał w kłus, a wtedy Misty robiła to samo i Holly, tracąc oddech, niezręcznie podskakiwała w siodle.

Przy kolejnej takiej okazji Skye odwrócił się ku niej i zapytał ze śmiechem:

- Nie możesz złapać rytmu, co?

- Wydaje mi się, że za każdym razem, kiedy Misty przyspiesza, za chwilę spadnę z siodła.

- Kłus jest chyba najtrudniejszy do opanowania dla początkującego jeźdźca. Kiedy wyjedziemy z lasu na płaski teren, pojedziemy nieco szybciej. To ci się bardziej spodoba.

- Jeśli masz zamiar jechać jeszcze szybciej niż teraz, to beze mnie. Już i tak ledwie trzymam się w siodle.

- Nie martw się - roześmiał się Skye. - Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by jakiś mój uczeń spadł z konia.

Te słowa dały jej do myślenia... Ciekawe, czy wśród tych jego uczniów było dużo kobiet. Teraz, kiedy jechał przed nią, mogła obserwować go do woli.

Wysoki i smukły, z twarzą ocienioną szerokim rondem kapelusza, na koniu wyglądał świetnie. Już wcześniej zdjął dzinsową kurtkę i miał na sobie tylko cienki bawełniany podkoszulek, podkreślający jego muskularne bary. Obcisłe spodnie opinały się na wąskich biodrach.

- Chcę cię o coś zapytać. - Holly zrównała się z nim, kiedy ścieżka stała się nieco szersza. - Czy zwykle zabierasz tu swoje dziewczyny na przejażdżkę?

Czy to jest twój sposób spędzania czasu z kobietami?

- Sądzisz, że proponuję przejażdżkę, żeby wprowadzić dziewczynę w odpowiedni nastrój, to masz na myśli? Skądże! Nic by z tego nie wyszło. Pewnie jeszcze tego nie czujesz, ale dla

niedoświadczonego jeźdźca zwykle cała sprawa kończy się bólem pewnych części ciała. W tych plotkach o mojej ulubionej metodzie uwodzenia panienek jest wiele przesady.

- Prawdę mówiąc, już chyba coś czuję - zachichotała Holly.

Skye usrrlechnął się, ale jego oczy nadal były poważne.

- Niepokoi cię myśl o tych moich dziewczynach, co? -
Dlaczego? Przecież to mnie nie dotyczy.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, myślę, że jednak tak. Holly, mam trzydzieści sześć lat. W moim życiu było wiele kobiet, ale ostatnio byłem sam. I nie zamierzam nikogo uwodzić. Mam żonę.

- Powiedz mi o tym coś więcej - roześmiała się z przymusem.

- Dziś rano złożyliśmy przysięgę. Oboje wiemy, że nie na zawsze, ale mimo to ona nas obowiązuje.

- Skye, przecież to nie jest prawdziwe małżeństwo.

Nie miejmy złudzeń. Małżeństwo powinno opierać się na miłości i wzajemnej więzi. W naszym przypadku tego nie ma.

Nie odpowiedział. Odwrócił głowę. W cieniu, rzucanym przez kapelusz na jego twarz, nie mogła dostrzec wyrazu jego oczu. Po chwili ścieżka zwęziła się, zmuszając ich do poruszania się gęsiego.

- Jesteśmy już prawie na samej górze - odezwał się Skye. - Tam odpoczniemy. Zabrałem coś do jedzenia, zrobimy sobie lunch.

Mieli za sobą niemal półgodzinne podchodzenie pod górę. Kręta, wznosząca się zygzakiem po zboczu ścieżka stała się tak wąska, że Holly posuwała się przed siebie z duszą na ramieniu. Wystarczył jeden fałszywy krok, by razem z koniem zsunęła się w dół. Na szczęście Misty pewnie parła do przodu. Perspektywę rychłego zakończenia wspinaczki Holly powitała z ulgą.

Po chwili skończyły się zarośla, wyjechali na rozległe wypłaszczenie.

- Och, Skye, jak tu jest cudownie! - wykrzyknęła Holly, podjeżdżając do czekającego na nią Rawlinsa.

Ze szczytu rozciągał się wspaniały widok na leżącą w dole okolicę. Za sobą mieli las, który właśnie przebyli, a tuż przed ich oczami wyrastały niebotyczne, zdające sięgać chmur góry. Słońce stało w zenicie, jego promienie oblewały świat jaskrawym blaskiem, w orzeźwiającym, suchym powietrzu czuło się tchnienie nadchodzącej jesieni. Spory płaskowyż, na którym się znajdowali, był porośnięty bujną trawą, rozjaśnioną różnobarwnymi plamami polnych kwiatów.

Holly nie posiadała się z zachwyty.

- To wprost nieprawdopodobne! Popatrz tylko - te niebieskie kwiaty to chabry, te białe to oczywiście stokrotki, a te białe baldaszki to dzika marchew. Te wyglądające jak żółte gwiazdki to kwiaty dziurawca, zieleń o cudownych właściwościach. Te delikatne złote kwiatuszki to nawłóć. To niesamowite, że kwitną tu jednocześnie. Może ma to jakiś związek w wysokości?

Nawłóć zwykle zaczyna kwitnąć dopiero wtedy, kiedy wszystkie inne już dawno przekwitły. To coś nadzwyczajnego zobaczyć je jednocześnie w pełni kwitnienia.

- Rzeczywiście są piękne - przyznał Skye, zeskakując z konia. Barny hasał po łące, od czasu do czasu podnosząc łapę, z ożywieniem nieustannie obwąchując ziemię. - Niektóre z nich znam, na przykład stokrotki, ale o innych nie mam pojęcia. Uważaj! - zawołał, widząc, że Holly szybko ześlizgnęła się z konia, jednym ruchem ściągając

buty i skarpetki i z radością zanurzy ła bosc stopy w wysokiej trawie.

- Przecież możesz sobie skaleczyć nogę!

- Nie, nic mi nie będzie - uśmiechnęła się do niego przez ramię.

- Moje nogi są przyzwyczajone do chodzenia boso.

- Nie obawiasz się trujących roślin?

- Nie, na łące raczej takie rośliny nigdy nie rosną.

- Ale w tym lesie chyba jest mnóstwo jadowitego bluszczu?

Przypomniałem teraz sobie tę noc, kiedy znalazłem cię przy ognisku.

Wtedy też byłaś boso.

A tamto miejsce było wprost wymarzone dla tej niebezpiecznej rośliny.

- Masz rację, bluszcz upodobał sobie tę polanę.

- I co z nim zrobiłaś? Potraktowałaś go jakimś herbicydem?

- Ależ skąd! - oburzyła się Holly. - Nigdy czegoś takiego nie używam. - Na chwilę zamilkła. - Jeśli ci powiem, nigdy w to nie uwierzysz.

Skye podszedł do niej bliżej.

- Zobaczymy.

- Więc dobrze. Wyjaśniłam trującym roślinom, że potrzebujemy trochę miejsca na nasz święty krąg.

Poprosiłam je, żeby łaskawie przesunęły się nieco dalej.

Skye zamrugał powiekami z niedowierzaniem.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią badawczo, jakby upewniając się, czy sobie z niego kpi. Holly jednak najwyraźniej nie żartowała.

- Poprosiłaś je, żeby się usunęły?

- Tak. I spełniły moją prośbę. Kiedy znów tam przyszedłam, nie

było po nich nawet śladu.

- Aha - powiedział sceptycznie.

- Biedny Skye - roześmiała się Holly. - Nie przejmuj się. Tylko przez sześć miesięcy będziesz musiał znosić tę zwariowaną kobietę, potem znów będziesz wolny.

Zachmurzył się, słysząc jej słowa, jakby ta perspektywa wcale go nie uszczęśliwiała.

- Powiedz mi tylko, w jakim języku z nimi rozmawiasz? Po angielsku? Ciekawe, czy gdybym spróbował zwrócić się do nich po hiszpańsku, czy coś by z tego wynikło? Może znają jeszcze inne języki, arabski albo japoński? Czy może jest tak, że zanim zaczniesz się z nimi komunikować, musisz poznać jakiś ich ezoteryczny słownik?

- Słuchaj, powiedziałam ci tylko, jak to było. Nie zwracałam się do nich, używając jakichś konkretnych słów. Starłam się nawiązać z nimi kontakt. Zawsze, kiedy chcę zerwać jakąś roślinę czy uszczknąć jej liść albo owoc, proszę ją w myślach o pozwolenie.

- A jeśli odmówi?

- Czasami tak się zdarza. Jeśli czuję, że roślina się przeciwstawia, szanuję to. Pozostawiam ją w spokoju.

- Rozumiem.

- Może przypominasz sobie, ile na początku lat siedemdziesiątych było zamieszania w związku z rewelacjami o ludziach, którzy rozmawiając z roślinami wpływali na ich znacznie szybszy wzrost? Ukazała się wtedy głośna książka na ten temat. Opisano w niej przeprowadzone eksperymenty. Próbowano dowieść, że rośliny mają coś w rodzaju świadomości, że potrafią reagować

emocjonalnie. Twierdzono, że doskonale potrafią odczuwać. Że zdają sobie sprawę z dokonywanych aktów niszczenia i wiedzą, kiedy obok nich coś umiera. W jednym z najbardziej spektakularnych eksperymentów w laboratorium umieszczono obok siebie dwie rośliny. Do środka po kolei wchodziło sześciu ochotników. Jeden z nich, wybrany losowo, złapał jedną z roślin, wyrwał ją z korzeniami i porwał na strzępy. Podłączone do drugiej rośliny elektromagnetyczne wskaźniki wprost oszalały. Roślina była przerażona.

- Wcale się nie dziwię - sucho stwierdził Skye.

- Po kilku godzinach znów poproszono ochotników o wejście do pomieszczenia. Roślina zupełnie nie reagowała na pięciu mężczyzn, ale kiedy tamten morderca wszedł do środka, wskazania sensorów wyszły poza wykres. Roślina nie tylko zdawała sobie sprawę z dokonanego mordu, ale również rozpoznała winnego.

- Żartujesz sobie ze mnie.

- To szczerą prawdą. Możesz o tym przeczytać.

- Hmm, może więc na miejsce swoich zastępców powinienem zatrudnić rośliny. Wprawdzie nie byłoby z nich specjalnego pożytku w terenie i nie potrafię sobie wyobrazić ich składających zeznania przed sądem, ale nie powinno się marnować takich zdolności. Kaktus Harry, detektyw z wydziału zabójstw.

- Mówiłam przecież, że mi nie uwierzysz - roze śmiała się Holly.

- Miałaś rację. Na wszelki wypadek nie będę cię o nic wypytywać - zgodził się Skye, muskając dłonią kępę rosnących w pobliżu złotych kwiatów. - Naprawdę te rośliny mogą leczyć?

- Tak, oczywiście - zapewniła go, jednocześnie rejestrując, że podczas tej rozmowy Skye przybliżył się ku niej tak, że ich ramiona niemal się stykały.

- Od niepamiętnych czasów ludzie stosowali zioła w leczeniu - Holly z trudem usiłowała skoncentrować się na tym, co mówiła. - I nadal tak jest. Wiele najlepszych leków sporządza się z ziół - leki stosowane przy zaburzeniach rytmu serca, leki działające przeciwbólowo, a nawet takie, które stosuje się w leczeniu nowotworów.

- Tak?

Skye uśmiechał się nieznacznie, wąsy unosiły mu się leciutko, co tylko przydawało mu atrakcyjności. Holly była pewna, że jej słowa przyjmował z większym powątpiewaniem, niż się do tego przyznawał. Nie zniechęciło jej to. Przepadała za swoim zajęciem, ale nie podchodziła do niego z przesadnym fanatyzmem.

- Nie wierzysz mi, co? - Zachwiała się lekko, kiedy jej noga uwięzła w splątanych roślinnych pędach. Skye szybko schwycił ją za rękę. - Dzięki - uśmiechnęła się, odzyskując równowagę. Skye obiema rękoma przytrzymał ją teraz w talii. Zdawało się jej, że jego ciepłe dłonie są pełne słonecznego światła.

- W co nie wierzę? - zapytał, odwracając ją ku sobie. Był bardzo blisko.

- W uzdrawiającą moc ziół - odparła Holly, ciągle świadoma przyjemnego dotyku sięgających aż do kolan polnych kwiatów łaskoczących jej bosc stopy.

- Jestem racjonalistą - powoli odrzekł Skye. - Dlatego zastanawiam się, dlaczego dopiero po odkryciu przez nowoczesną

medycynę antybiotyków i opracowaniu metod leczenia operacyjnego ludzkie życie przedłużyło się o trzydzieści-czterdzieści lat.

- Absolutnie nie zaprzeczam, że współczesna medycyna potrafi dokonywać cudów. Działanie ziół jest powolne. Często, by uzyskać efekt, trzeba je stosować przez długi czas. Poza tym zdarza się, że konieczne jest bardzo szybkie działanie, co wówczas wyklucza podawanie leków ziołowych. Ale w bardzo wielu przypadkach są one nadzwyczaj użyteczne.

Skye przesunął dłonią po ramieniu dziewczyny, zaczął bawić się puklem jej włosów.

- Powolne działanie ma swoje zalety, ale czasami trzeba działać szybko.

Przeczuwała już, co się zaraz stanie. Powinna jakoś temu przeciwdziałać, ale nie chciała tego i... już było za późno.

Poczuła tylko zagarniające ją zdecydowanym ruchem jego ramiona. Nie był to delikatny czuły uścisk ani ulotny pospieszny pocałunek jak ten, który wymienili w obecności udzielającego im ślubu urzędnika.

Skye całował ją tak, że poczuła się zupełnie oszołomiona. Czegoś podobnego ani przez moment się nie spodziewała. Jęknęła cicho, ale nie wypuścił jej z zaborczego uścisku. Czuła jedwabisty dotyk jego wąsów i twarde, napięte mięśnie, kiedy przyciągnął ją jeszcze bliżej. Teraz i ona go całowała. Jej własne ubranie zdawało się być cienkie jak bibułka, kiedy przygarniając ją do siebie jednym ramieniem, drugą ręką delikatnie pieścił jej kark, odgarniając spływające na plecy jej gęste czarne włosy. Z trudem walczyła z przemożnym pragnieniem, by przytulić się do niego jeszcze mocniej,

poczuć dotyk jego nagiej skóry. Oboje płonęli, a cały świat wirował jak szalony.

Nagle, tak samo niespodziewanie jak zaczął, Skye oderwał usta od jej warg. Podniósł głowę, ujął w obie dłonie jej twarz.

- Przestraszyłaś się? - zapytał cicho.

Zmieszana, tylko potrząsnęła głową. Nie bała się.

Kręciło się jej w głowie, czuła, że żyje. Nieoczekiwana reakcja jej ciała zaskoczyła ją. To chyba działanie feromonów czy czegoś takiego, przekonywała w duchu samą siebie. Po prostu chemia, tak często i bez zastanowienia uznawana za miłość od pierwszego wejrzenia. A może stało się tak tylko dlatego, że już od tak dawna jest sama?

- Nie pomyśl tylko, że próbuję zmienić naszą umowę ani że cię ponaglam - odezwał się Skye.

- Chciałem tylko, byś wiedziała, że nie powinnaś się mnie obawiać i żebyś знаła moje uczucia dla ciebie.

- Dobrze - powiedziała drżącym głosem.

Z zakłopotaniem spostrzegła, że nadal zaciska palce na ramieniu Skye'a. Pospiesznie cofnęła rękę i odsunęła od niego. Uśmiechał się do niej, jednocześnie łagodnie i uwodzicielsko. Ale szatan, pomyślała, sama uśmiechając się do niego. W końcu była z wyjątkowo przystojnym mężczyzną w nieprawdopodobnym miejscu, gdzie polne kwiaty cieszyły oczy kwitnąc tak, jakby nie istniały tu pory roku, a ona sama czuła się dziwne szczęśliwa.

- Wiesz co, mam pewien pomysł.

- Chyba się domyślam - zaszcebiotała, dopiero po chwili ze zdumieniem zdając sobie sprawę, że zaczyna z nim flirtować. O

Boże!

- Moglibyśmy położyć się tutaj wśród tych kwiatów, powdychać ich zapach, poczuć...

- Skye, przestań! - przerwała mu stanowczym tonem, do końca nie wiedząc, komu to było bardziej potrzebne.

Delikatnie przeciągnął kciukami po jej policzkach.

- Już dobrze, nie będę.

- Przecież ja cię prawie nie znam.

- No właśnie. O to chodzi. Jak już mnie poznasz, możesz mnie nie polubić - powiedział niedbałym tonem, ale coś w jego oczach uprzytomniło jej, że naprawdę się tego obawiał.

Ciągle jeszcze był tak blisko niej. To cudowne miejsce i dwoje nie znanych sobie ludzi, którzy byli mężem i żoną. Cofnęła się kilka kroków. Naraz Barny zaszczekał gwałtownie.

Skye odwrócił się w jego stronę. Wymachując ogonem, podniecony pies biegał wokół gęstych jeżynowych zarośli, próbując coś w nich wypatrzyć.

- Spokój, Barny! - zawołał do niego Skye. - Przestań szczekać.

Barny posłusznie umilkł, ale nie odchodził od krzaków.

- O co mu chodzi?

- To zabawa. Udaje, że chce wypłoszyć jakieś zwierzę czy ptaka, prawdopodobnie jest tam cieciornik. Jak na niedoświadczonego szczeniaka, Barny jest całkiem niezły.

Oboje patrzyli, jak Barny zerwał się i jednym susem skoczył w najbardziej gęste zarośla. Rozległ się gwałtowny szum skrzydeł i jakiś ptak poderwał się w powietrze i poszybował na wschód.

- Dobry piesek - Skye pochwalił wynurzającego się z krzaków Barny'ego. - Chodź do mnie. Dobry piesek.

Niestety nie masz czego aportować. Ale będzie z ciebie świetny wystawiacz.

Holly oparła dłonie na biodrach, przyglądając się badawczo całej scenie - Skye'owi chwalącemu psa i Barny'emu z dumą wymachującemu ogonem.

- Gdyby teraz był sezon polowań i miałbyś przy sobie broń, pewnie byś zabił tego ptaka, prawda?

- Przynajmniej bym spróbował - odrzekł Skye, wzruszając ramionami. - Chociaż pewnie bym spud łował. Często mi się to zdarza.

- Nie mogę zrozumieć, jak potrafisz usprawiedliwić przed sobą zabijanie ptaków i zwierząt, które ci w niczym nie zawiniły.

- Już dawno przestałem szukać takich usprawiedliwień. Ludzie, którzy polują, po prostu nie zastanawiają się nad tym. Ci, którzy tego nie robią - no cóż, każdy ma prawo do zajmowania się tym, co go pasjonuje. Każdy człowiek wcześniej czy później, w dzieciństwie albo w jakimś krytycznym momencie życia, dostaje nauczki i zdobywa mądrość życiową, która pozwala mu w pełni cieszyć się życiem, osiągnąć jakąś wewnętrzną jedność. Ja nikomu niczego nie żałuję i nie staram się nikogo osądzać. W zamian za to oczekuję tego samego.

To ją nieco ostudziło.

- Nauczyłeś się polować jeszcze w dzieciństwie?

- Tak. Chodziłem na polowania z ojcem i z dziadkiem. Wiele im zawdzięczam. To oni nauczyli mnie wielu ważnych rzeczy, między

innymi miłości i szacunku dla natury, jej piękna i okrucieństwa.

- Ja nie widzę w polowaniu żadnego piękna, jest w nim tylko okrucieństwo.

- To dlatego, że jesteś nowoczesną kobietą wychowaną w takim społeczeństwie, które może sobie pozwolić na opłacenie ludzi, co za ciebie oprawią mięso, ryby czy ptactwo. Jeszcze inni pakują je w folię.

Pozostaje ci tylko kupić gotową porcję w sklepie.

- Ty też żyjesz w tym społeczeństwie, Skye. Możesz kupować mięso w sklepie, nie musisz zabijać, by zdobyć jedzenie.

- A co w takim razie powiedzieć o wrywaniu z ziemi i mordowaniu roślin, potrzebnych do sporządzania leków, skoro wielkie firmy farmaceutyczne są w stanie wyprodukować odpowiednią ilość podobnie działających leków, otrzymywanych w sposób syntetyczny?

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale uśmiechnęła się tylko.

- Punkt dla ciebie.

Skye też się uśmiechnął. Przywołał konie, wypakował z przytroczonych do siodła toreb jedzenie: chleb, ser, owoce i butelkę wina.

- Co powiesz na mały posiłek?

Wracali na ranczo w przyjaznym milczeniu. Zapadał zmierzch. Do domu było daleko. W ciszy powoli zaczęło narastać napięcie. Noc zaskoczyła ich, zaczęła się tak niespodziewanie, jak to zwykle bywa jesienią.

W ciemności nie sposób było dostrzec twarzy Skye'a, buzię Holly też tylko słabo oświetlały migoczące na tablicy rozdzielczej

zielone i bursztynowe światełka.

Zerknęła na niego, znów pomyślała, że to przecież jej mąż „...i że cię nie opuszczę aż do śmierci”.

Skye całkowicie skoncentrował się na prowadzeniu samochodu. Dłonie w rękawiczkach mocno zacisnął na kierownicy, chwilami odrywał prawą, by opuściwszy ją na dzielącą ich ciała dźwignię, wprawnie zmienić bieg. Raz przypadkowo dotknął niechcący uda Holly.

Nawet tego nie zauważył, ale ona od razu to poczuła.

To mimowolne naruszenie należnej tylko jej przestrzeni zaskoczyło ją. Czowała w kościach tę całodzienną jazdę. Była zupełnie wyczerpana, ale nie opuszczało jej dziwne podniecenie. Było coś ekscytującego w tym wspólnie spędzonym ze Skye'em dniu. Szeryf Skye Rawlins. Obcy. Myśliwy. Jej mąż.

Zatrzymał samochód przed domem, który do niedawna był domem jej dziadka. Uchylił tylne drzwi, by wypuścić psa, po czym popatrzył na nią. Skrzyżowała ręce w obronnym geście. To miała być ich noc poślubna. W ciągu dnia, który właśnie mijał, coś między nimi się zmieniło. W czasie tych wspólnie spędzonych godzin nawiązała się między nimi jakaś nić porozumienia. Teraz czuli się znacznie lepiej w swoim towarzystwie. I jeszcze coś, coś nie nazwanego i nie dającego się do końca określić, budziło się w nich i w gęstniejących ciemnościach coraz bardziej przybierało na sile, potężniało, uparcie niepokoiło.

Wytrzymała jego spojrzenie. Twarz Skye'a miała zagadkowy wyraz - lekko uniesione brwi, te jego usta, ponętne wargi wygięte w uwodzicielskim uśmiešku.

Zadrżała na wspomnienie ich dotyku... Jego mocne ramiona, obejmujące ją tak cudownie... Ta upojna, ulotna chwila szaleństwa na tonącej w polnych kwiatach łące.

Nie musiała zgadywać, jakie pytanie maluje się w jego oczach. Ona też chciałaby przedłużyć tamtą chwilę, z przyzwalającym uśmiechem skinąć tylko głową i rzucić się w jego ramiona.

Nie, nie ma mowy, zganiła się w duchu. Pocałunek owszem, ale coś więcej...

- Holly, o czym tak dumasz?

Odpinając pas, uśmiechnęła się blado.

- O niczym. Po prostu jestem zmęczona. To był długi dzień. Chociaż bardzo przyjemny. Dziękuję ci.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzucił.

Nim zdążyła wysiąść, okrążył samochód i otworzył jej drzwi. Ten kurtuazyjny gest nieoczekiwanie ją ujął. Taki z niego kowboj, a zachowuje się jak dżentelmen.

Ramię przy ramieniu przebyli cztery prowadzące do wejścia schodki. Tuż przy drzwiach Holly zaczęła przeszukiwać torebkę.

- Musimy zamówić dla ciebie komplet kluczy - przypomniała, przekręcając klucz w zamku.

Wyjmowała go już, kiedy niechcący wyslizgnął się jej z ręki i upadł na ziemię. Oboje jednocześnie pochylili się i zderzyli głowami.

- Jesteś zdenerwowana?

- Ja? - obłudnie skrzywiła się Holly i postąpiła krok naprzód, ale Skye przytrzymał ją za ramię.

- Poczekaj. Jesteśmy mężem i żoną. Zróbmy to jak należy.

Nim zdążyła pomyśleć i zaprotestować, wziął ją na ręce. Holly

bezwiednie objęła go za szyję. Teraz jej twarz była tuż przy jego twarzy. Niemal czuła dotyk jego ciemnych wąsów, ciepło jego oddechu.

Wybuchnęła śmiechem, kiedy przeniósł ją przez próg. Barny nie odstępował ich, choć przyglądał się im tak, jakby niczego nie rozumiał.

- Puść mnie, Skye. Jeszcze sobie coś zrobisz.

- Prawdę mówiąc, jesteś cięższa, niż myślałem - droczył się z nią, ale nie wypuszczał z objęć.

Odpychając nogą zagrządzającego drogę Barny'ego, wszedł do domu i postawił ją na ziemię dopiero przed schodami prowadzącymi na górę. Wyprostował plecy, po chwili pochylił się i pogłaskał psa.

- Hmm. Chyba jestem na najlepszej drodze, by nauczyć się takich różnych romantycznych gestów.

- To było bardzo miłe - odezwała się Holly.

- A zwłaszcza - dodała, cofając się pod wpływem spojrzenia jego błękitnych oczu - jeśli ktoś jest taki obolały jak ja. Jazda konna była cudowna, ale obawiam się, że jutro nie będę w stanie zrobić kroku. Ani usiąść.

- Weź gorącą kąpiel, to ci dobrze zrobi. Najlepiej byłoby rozmasować bolące mięśnie. Jeśli zechcesz, to chętnie służę pomocą. Potrafię świetnie masować.

- Uff, nie, dziękuję. Naprawdę jestem zmęczona.

Pójdę i od razu położę się do łóżka.

- Holly... - Pochylił się, jakby chciał ją objąć, oszołomić pocałunkiem, rozwiać jej opory...

- Nie, Skye - wyszeptała.

Z cichym jękiem przesunął dłonią po włosach.

- Holly, jesteś taka cudowna, taka słodka. Chcę być z tobą. Marzę o tym od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem.

Dziewczyna cofnęła się, potrząsnęła głową.

- Skye, nie. Jeszcze nie teraz. Przepraszam cię, ale to za szybko. Nie mogę. Dobranoc.

Odwróciła się i pobiegła na górę, zostawiając go żałośnie potrząsającego głową. Cholera, przecież oboje tego chcą, wiedział o tym. Wystarczył ten pocałunek na łące, by zdał sobie z tego sprawę. Ona też wiedziała, że jej pragnie. Był niemal pewien, że choć opiera się i stosuje uniki, czuje to co on.

Byli mężem i żoną, dziś była ich noc poślubna. Po raz pierwszy w życiu miał pełne prawo spędzić tę noc z kobietą. Kusilo go, by wejść za nią i spróbować ją zdobyć.

Jak mógłby coś takiego uczynić? Przecież Holly obawiała się czegoś, dręczyło ją coś, czego do końca nie potrafi zrozumieć. Obiecał, że da jej czas, że okaże cierpliwość. Od początku, od chwili kiedy zgodziła się na to małżeństwo, jasno postawiła sprawę.

Zaprzątnięty tymi myślami, Skye usiadł na stopniu schodów. Potar mosił Barny'ego, zaczął się z nim bawić, rzucając mu piłeczkę tenisową. Zachwycony pies przynosił mu ją z powrotem.

- Mądra z niej kobieta, co, piesku? Nie chce mieć do czynienia z kimś takim jak ja.

Barny wykrzywił mordkę i niezmordowanie wymachując ogonem, utkwiał brązowe oczy w trzymanej przez pana piłeczce.

- Inny, bardziej ode mnie delikatny i szlachetny mężczyzna, dałby jej spokój, aleja tego nie zrobię, co, Barny? Siad, piesku!

Barny przysiadł posłusznie. Psi ogon rytmicznie uderzał w ziemię.

- Nie, stary Skye czegoś takiego nie zrobi. Wiem, że dręczą ją złe wspomnienia, ale to mnie nie powstrzyma, jak myślisz? Hmm. Chyba powinienem pomóc jej to przezwyciężyć, wziąć to na siebie, odegrać bohatera.

- Z niesmakiem potrząsnął głową.

Barny, wpatrzony w piłeczkę, zaskomlał prosząco.

- Poczekam cierpliwie, ale przez ten czas spróbuję ją podejść. Potem tylko wyczekam na odpowiedni moment, starannie wyceluję i oddam strzał. Jest szansa, że prędzej czy później ją upoluję. Niezły ze mnie myśliwy, co? I czego ja, do diabła, chcę w ten sposób dowieść?

Barny skoczył za rzuconą piłką.

- Dobry piesek - pochwalił go Skye. - Dużo bym dał, żeby moje życie było takie proste jak twoje.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Boję się, że możemy mieć kłopoty. - Skye zmarszczył brwi z niepokojem.

Właśnie zasiedli do sobotniego śniadania. Już sam zapach jajek na szynce, które przyrządził sobie Skye, był dla Holly przykry. Ona wolała potrawy wegetariańskie. Jej śniadanie zwykle składało się z muesli, świeżych owoców, herbaty i niewielkiej ilości naturalnego jogurtu.

- Po mieście zaczęły ostatnio krążyć różne plotki - ciągnął Skye.
- Chciałbym z tobą o tym porozmawiać.

- Słucham. - Holly upiła łyk herbaty, daremnie próbując

odgonić od siebie natrętne myśli na temat wyglądu Skye'a. Lekki ślad zarostu na jego policzkach wydał się jej szczególnie atrakcyjny.

- Zgłoszono do mnie, jako do szeryfa, parę skarg.

Mamy tu takiego jednego, który lubi robić dużo szumu i uwielbia wtykać nos w nie swoje sprawy. To Roy Galleger. Udało mu się zwerbować do tego kilku innych i zaczynają się awanturować. Mogą być przez to problemy.

- Jakiego rodzaju?

Minął już ponad miesiąc od dnia, gdy zamieszkali pod jednym dachem, i Holly przywykła do wysłuchiwania opowieści Skye'a związanych z jego pracą.

Nawet to polubiła. Powoli wyłaniał się z nich inny obraz mężczyzny, którego poślubiła. Był nie tylko przedstawicielem prawa, ale i prawdziwym opiekunem lokalnej społeczności - nie raz ingerował w domowe awantury i starał się je łagodzić, pomagał nadużywającym alkoholu, sprowadzał z powrotem nastolatki, które uciekły z domu, ułatwiał im nawiązanie kontaktu z rodziną i znalezienie swojego miejsca w życiu.

Wyjaśnił Holly, że ta praca daje mu dużo więcej satysfakcji niż lukratywna praktyka adwokacka, którą wykonywał w Los Angeles. Właśnie tego mu brakowało i dlatego przeniósł się do Montany.

- Obawiam się, że to dotyczy ciebie.

- Mnie? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wygląda na to, że rozpuszczono plotki o tobie i twoich przyjezdnych znajomych. Wasze tajemnicze obrzędy o północy odbywające się w lesie, z dala od ludzkich oczu, dziwne pieśni, zioła i medykamenty nieznanego pochodzenia podniecają wyobraźnię i

niepokoją. Poza tym fakt, że przyjeżdżający tu na weekend obcy nie zostawiają w miasteczku ani grosza, tylko ułatwia sprawę Gallegerowi i jego kumplom. Ich słowa trafiają na podatny grunt. Posunął się tak daleko, że rozpowiada wszędzie, iż żona szeryfa jest czarownicą i rzuciła na niego urok.

Holly nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

- Tak, wiem. Dotąd usiłowałem nie zwracać na to uwagi, ale od jakiegoś czasu zaczynam się trochę niepokoić - ciągnął Skye. - Galleger domaga się przeprowadzenia dochodzenia. Straszy, że jeśli nie zrobię czegoś w tej sprawie, zażąda wkroczenia wyższej instancji, a jak się zapewne domyślasz, to jest ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył.

- Leczenie ziołami i medycyna niekonwencjonalna nie są czymś szkodliwym czy tajemniczym. Są tak stare jak ludzkość. W Sedonie nigdy nie oskarżano nas o czary.

- Tak mogło być w Sedonie. Sama wiesz, jakie to dziwne miasto. Pełne różnych pomyleńców, ludzi zaklinających się, że właśnie wysiedli z latającego talerza i innych równie nawiedzonych. Ale tu jest Montana, gdzie ludzie mocno stąpają po ziemi.

W Whittier osoby takie jak ty są uważane za, oględnie mówiąc, ekscentryczne.

- Ty też tak uważasz?

Skye odchylił się na krześle.

- Prawdę mówiąc, sam nie bardzo wiem, co o tym myśleć. Mam mieszane uczucia, obserwując twoje zachowanie, kiedy razem z tymi przyjeżdżającymi na szkolenia znajomymi urzędnikami w lesie te swoje nocne obrzędy. Trudno mi to zrozumieć.

- To problem zaufania. Skye, przyznaj się, czy naprawdę wierzysz w to, że rzuciłam na ciebie urok?

- Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości - odrzekł z szerokim uśmiechem. - Od pierwszego dnia, kiedy cię ujrzałem, jestem pod twoim urokiem.

Po twarzy Holly przemknął lekki uśmiech, ale słowa Skye'a poważnie ją zaniepokoiły. Ani przez chwilę nie przyszło jej do głowy, że ta działalność może wzbudzić podejrzenia.

- Wiesz, to zwykle tak bywa, kiedy kobiety zaczynają coś robić. Wystarczy, że zbierze się ich kilka, a mężczyźni natychmiast wpadają w histerię. Jeszcze trochę, a uznają nas za czarownice i zaczną przypisywać nam najgorsze rzeczy.

- Niepotrzebnie się aż tak irytujesz. Jestem po twojej stronie.

- Wcale tego nie odczułam.

- Próbowałem uzmysłwić ci, jak to odbierają okoliczni mieszkańcy. W sobotnie wieczory większość z nich chodzi na potańcówki czy kolacje urządzone przez pastora, natomiast wy idziecie do lasu i tańczycie wokół ognia. Niektórym robi się nieswojo na tę myśl.

Wydaje mi się, że większość współczesnych Amerykanów, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, w głębi duszy nadal jest przesądna. I boi się tego, czego nie potrafi zrozumieć.

- Ale co ja mogę na to poradzić? - westchnęła Holly.

- Na początek można spróbować uchylić nieco zasłonę tajemnicy, jaka was otacza. Może ktoś powinien pójść i być świadkiem tego, co robicie. Nie brać udziału, oczywiście, ale zobaczyć i potem zdać relację z tego, co widział. Jeśli zapewni

mieszkańców, że nie dzieje się tam nic takiego, że to tylko niedorzeczne i niegroźne zabawy, plotki ucichną.

- Czyżbyś chciał się sam wprosić? - Holly uniosła brwi. - Jako mój mąż, nie byłbyś wiarygodnym świadkiem.

- Nie, ale ludzie mają do mnie zaufanie. Poza tym jestem szeryfem.

- Zwykle nie dopuszczamy mężczyzn. Tylko kobiety biorą udział w naszych obrzędach.

- I co tam robicie? Tańczycie nago wokół ogniska?

- Ależ skąd! - roześmiała się Holly. - To są męskie fantazje. Gdyby rzeczywiście tak było, to jestem pewna, że wszyscy mężczyźni z Whittier czailiby się w zaroślach, żeby nas podglądać.

- Ja na pewno.

- Ale wracając do sprawy, to przecież ty wiesz, co robimy. Tej nocy, kiedy umarł mój dziadek, byłeś przy ognisku.

- Zaledwie kilka minut. Nie widziałem wszystkiego. Zresztą wydaje mi się, że za każdym razem dzieje się coś innego.

- Masz rację - przyznała Holly. - To zależy od fantazji i uczestniczek zajęć.

- Czy dziś wieczorem też urządzasz tę imprezę?

- Miałam taki plan, ale kilka osób nie mogło przyjechać, więc odwołałam spotkanie. Zamierzam urządzić sobie swoją prywatną ceremonię. Dziś jest pełnia księżyca. Ale wątpię, by ciebie to zainteresowało. - Interesuje mnie wszystko, co interesuje ciebie.

Możesz na mnie liczyć.

Ujął ją swoją szczerością. Nie mogła nie dać wiary jego słowom.

Przez te kilka tygodni, jakie upłynęły od ich ślubu, zdążyli się

poznać i stworzyć pewne zasady współżycia.

Nie przeszkadzali sobie, właściwie nie było żadnych powodów do nieporozumień i konfliktów. Skye przywykł do samodzielnego życia i niczego od Holly nie oczekiwał. Potrafił robić zakupy, gotować, sprzątać i pracować, więc bez problemu podzielili między siebie domowe obowiązki. Okazało się, że Skye był znacznie lepiej zorganizowany niż ona, choć nie do przesady.

W ciągu dnia oboje byli pochłonięci swoimi zajęciami. Czasami zdarzało się, że Skye'owi wypadał nocny patrol i wtedy nie widywali się jeszcze dłużej. Holly stale miała coś do zrobienia - uczyła lub zabawiała swoich weekendowych kursantów, prowadziła korespondencyjne szkolenia, przygotowywała ziołowe mikstury, które wysyłała odbiorcom pocztą.

Spędzane wspólnie wieczory upływały im spokojnie. Oboje z pobłażliwością traktowali ulubione przez każdą ze stron zajęcia. Holly miała kilka seriali, których za nic nie zgadzała się opuścić, Skye przepadał za sportem. Któregoś razu stoczyli prawdziwą walkę, kiedy o tej samej porze nadawano relację z mistrzostw i kolejny odcinek serialu.

Jednak zazwyczaj Holly była zadowolona, kiedy transmisja meczu przeciągała się do późnej nocy.

Wtedy cicho wymykała się do sypialni, nie zwracając na siebie uwagi Skye'a. Właściwie tylko wieczorami czuła się niezręcznie w jego towarzystwie, kiedy gęstniejące ciemności opadały na ziemię, oddzielały ich od świata, pogłębiały atmosferę zbliżającej ich intymności, której tak naprawdę żadne z nich nie chciało się

przeciwstawić.

Na pozór udawali, że tak nie jest. Od tamtej nocy poprzedzonej ślubem, kiedy Holly uciekła do sypialni, trzymali się od siebie z daleka, z wyjątkiem jakiegoś przypadkowego dotknięcia. Żadnego pocałunku, żadnego uścisku. Oboje pilnowali się tak bardzo, że zdarzały się chwile, kiedy sprawiało to ból.

Zdawało się, że te starania nic nie dają, nawet przynoszą odwrotny skutek. Napięcie, wyczuwalne między nimi, ciągle przybierało na sile. Holly bezustannie uświadamiała sobie obecność Skye'a-w jakiś trudny do określenia sposób zawsze czuła, w jakim miejscu pokoju się znajduje, jak daleko od niej, jak blisko. Im usilniej starała się go unikać, tym silniejsze było pragnienie, by rzucić się w jego ramiona. Im bardziej przekonywała samą siebie, że bliski kontakt przyniósłby jej jedynie ból i cierpienie, tym rozpaczliwiej marzyła o tym, by przyszedł do niej.

Ale sama nie zrobiła pierwszego kroku. On też nie.

Ich związek nadal pozostawał małżeństwem tylko z nazwy.

To nie mogło trwać w nieskończoność. Oboje podświadomie czuli, że zbliżają się do kresu wytrzymałości.

- Więc jak? - zapytał Skye. - Mogę przyjść wieczorem na tę twoją ceremonię?

- Jeśli przyjdiesz - z wahaniem powiedziała Holly - to nie po to, żeby tylko patrzeć. Będziesz musiał też brać w tym udział.

- Uff. A dokładnie, co miałbym robić?

- Nie mogę ci teraz powiedzieć. Skoro przyjdiesz, to sam zobaczysz.

- Dobrze. Zgadzam się.

- Ale jeśli zaczniesz wybrzydzać, wyśmiewać się albo przeszkadzać mi...

- Nie będę. Przyrzekam. Potrafię się zachować.

- Więc zrób to, szeryfie. Inaczej naprawdę rzucę na ciebie urok. Właściwie może to nie był najszcześniejszy pomysł.

Skye sceptycznie przyglądał się żonie, zajętej przygotowaniami do rozpalenia świętego ognia. Zapadła noc, znajdowali się w głębi lasu. Czuł się nieswojo, niepewnie i bezradnie. Najchętniej wróciłby teraz do domu, usiadł przed telewizorem, wciągnął się bez reszty w oglądany mecz. Nigdy nie rozumiał tych mistycznych bzdur, to nie było w jego stylu. Całe szczęście, że nie było tu tego starego Gallegera. Uznałby niechybnie, że szef zwariował.

Początek zapowiadał się nawet niezłe. Holly przypominała mu harcerkę, szykującą się na nocny rajd.

Pomógł jej zabrać kilka kawałków drzewa, zapałki i środek przeciwko komarom. Holly wzięła koszyk wypełniony kryształami, pochodniami, świecami, ziołami i mnóstwem innych tajemniczych przedmiotów.

Ale jej nastrój zmienił się całkowicie, kiedy ruszyli przez las do miejsca, które wybrała na rozpalenie ognia. Naraz wydała mu się zupełnie inną osobą. Nie była to Holly MacLeish, którą, wydawało mu się, tak dobrze zna. Kiedy zdjęła buty i bosko weszła w zarośla, poprosiła go, by milczał.

- Wsłuchaj się w szept ziemi, naszej matki - poprosiła cicho. - Podnieś głowę i spójrz na księżyc i gwiazdy rozświetlające firmament. Posłuchaj muzyki sfer.

Oczarowała go jej piękność, tej nocy jeszcze bardziej

ekscytująca. Czarne bujne włosy w luźnych puklach opadały na ramiona, delikatnie poddawały się powiewom wiatru. Nawet ciemność nie zatarła bogactwa barw przejrzystej tkaniny, z której była uszyta jej spódnica. Skye czuł się jak zahipnotyzowany, kiedy na nią patrzył. Zdawało mu się, że naprawdę coś słyszy. Poddał się magii tej nocy, której Holly była częścią, tak jak las był częścią jej istoty, a on, co przeżył tu niemal całe swoje życie, był jedynie intruzem.

Zatrzymali się w miejscu, gdzie już kiedyś był świadkiem nocnych obrzędów. Holly ułożyła krąg z leżących tu, zapewne celowo zgromadzonych, dużych kamieni. Powoli, nie spiesząc się i poruszając z namaszczeniem, jakby odbywała jakieś święte misterium, szykowała ognisko, zwracając się w cztery strony świata, by przywołać tajemne moce. Musiało to mieć jakieś odniesienie do wierzeń pierwotnych Indian, pomyślał Skye.

- Czy to ma związek z religią? - zapytał ją wcześniej, kiedy zbierali drzewo na ognisko. - Czy ty i twoi znajomi jesteście poganami i czcicie bogów zamieszkujących w skałach, potokach i drzewach?

- Skye, przecież wiesz, że chodzę do kościoła - odrzekła wówczas i rzeczywiście częściej od niego brała udział w nabożeństwach. - Ale wierzę w to, że do Boga można trafić w różny sposób i że można Go znaleźć w wielu miejscach. Zwłaszcza w świecie natury.

Nie potrafię wyjaśnić ci, jaki związek mają te obrzędy z wyznawaną przez nas religią, ale zapewniam cię, że mają. To forma modlitwy, jeśli potrafisz to zrozumieć.

Rozumiał. Sam często doświadczał czegoś podobnego, zwłaszcza w lesie. Dla niego takim mistycznym przeżyciem było polowanie, akt, przez który wracał do zamierzchłej przeszłości, najbardziej pierwotnego poczucia bycia mężczyzną. Zdawało mu się, że wypełnia swoje przeznaczenie, że po raz tysięczny powtarza los kolejnych myśliwych, kiedy wkracza do lasu w poszukiwaniu zdobyczy. Nigdy nie zdoła jej opisać, jak staje się wtedy częścią tego świata, w jaki sposób wyostrzają się wówczas zmysły i jak instynktownie utożsamia się ze swoją ofiarą. Nie mogłaby tego zrozumieć. Dopiero kiedy zaczyna się polować tak, jak polują wszystkie zwierzęta, zaczyna się rozumieć, na czym polega życie.

Popatrzył na nią z ukosa. Ze wszystkich kobiet, jakie znał, ona najprędzej mogłaby to pojąć. Jaka szkoda, że miała taką awersję do polowań. W gruncie rzeczy byli do siebie bardziej podobni, niż mogli wcześniej przypuszczać.

- I co teraz? - zapytał, kiedy na polanie zapłonął ogień.

- Stań tutaj, naprzeciw mnie.

Zatrzymał się po drugiej stronie ogniska i patrzył w milczeniu, jak wyjmowała z koszyka niewielką pochodnię, zakończoną tkaniną z czerwonej bawełny.

Przytknęła jej koniec do ognia. Powietrze wypełnił intensywny aromat jakichś ziół.

Holly uniosła pochodnię w górę i cofnęła się kilka kroków. Rozłożyła szeroko ramiona i zaczęła okrążyć ogień, poruszając się jak słońce, ze wschodu na zachód, płonącym ogniem zataczając w powietrzu krąg.

- Co robisz? - wyszeptał Skye.

Przepelił go jakiś dziwny lęk. Z powiewającymi czarnymi włosami, w mroku rozświetlonym blaskiem płonącego ogniska i tańczącego ognia pochodni, wydała mu się istotą nie z tego świata. Przypomniały mu się dawne historie o śmiertelnikach, którzy ośmielili się pokochać boginię, i nieszczęścia, jakimi to przypłacili.

- Zakreślam krąg - odrzekła.

Te słowa jeszcze wzmogły jego lęk. To jakieś złowrogie czary. Przeszła za nim, zamykając go w wyznaczonym przez płomień pochodni kręgu.

Przez moment poczuł się jak uwięziony w nim, schwytyany i bez możliwości ucieczki. To nie była ta sama łagodna i miła Holly, którą co rano podziwiał przy kuchennym stole. Ta władcza, skupiona i przejęta swoją misją kobieta napelniała go grozą i trochę przerażała. Nie wiedział, czego się po niej spodziewać.

Holly wróciła na swoje poprzednie miejsce. Teraz stała naprzeciwko niego, ruchem pochodni zamykając wyznaczony w powietrzu krąg. Zamknęła oczy, całkowicie na czymś skoncentrowana.

- Pokój wszystkim, którzy są w tym kręgu - zaintonowała. - Wznieśmy w górę serca, tu będą wolne od wszelkiego zła. Niech będą pobłogosławione.

Co powinien na to odpowiedzieć? Amen? Niezdecydowany, nie odezwał się ani słowem.

- Rób to co ja - powiedziała Holly - i powtarzaj za mną.

- Dobrze. Nie ma sprawy.

Holly ustawiła pochodnię na skraju ogniska i uniosła ręce nad

głowę. Skye bezwolnie zrobił to samo. Dopiero po chwili zorientował się, że nie odrywa oczu od jej piersi, rysujących się pod cienką bluzką. Przez przejrzystą tkaninę przeświecały ramięczka stanika.

- Podążam ku światłu - powiedziała Holly, nie otwierając oczu i wyciągając ręce ku czemuś, co dla niego nadal było niewidoczne.

- Podążam ku światłu - powtórzył, z trudem tłumiąc w sobie rozbawienie.

Holly opuściła ręce i zacisnęła dłonie.

- Dostaję światło - powiedziała, a jej twarz rozjaśniła się w pełnej zdumienia radości.

- Dostaję światło - powtórzył Skye, zastanawiając się, co dokonało tej przemiany, jaką dostrzegł w wyrazie twarzy Holly.

Holly powoli skrzyżowała ręce na piersi, Skye starannie naśladował jej ruchy. Czuł głośnie bicie swego serca.

- Wchłaniam światło - powiedziała z napięciem, a jej zamknięte powieki zadrgały gwałtownie, jakby pojawiły się przed nimi jakieś obrazy czy marzenia senne.

- Wchłaniam światło - powtórzył za nią.

Jej ręce powoli zataczały niewielkie półkola. Palce miała wyprostowane, dłonie zwrócone wierzchem do góry.

- Wydzielam światło - powiedziała, a Skye aż zamrugał z wrażenia, bo wydało mu się, że coś rozświetla jej twarz, a blask promieniuje z jej rąk.

To tylko pewnie ogień odbija się na jej bransolecie i pierścionkach, upewniał się w duchu, ale nadal czuł się nieswojo.

- Wydzielam światło.

- Podążam ku światłu. - Holly znów uniosła w górę ręce.

Tym razem Skye zamknął oczy, bezskutecznie próbując poddać się magii jej słów. Może na niego to nie działa.

- Dostaję światło.

Czyżby tym razem coś poczuł? Może tak. Zdawało mu się, że jakiś głos szepce mu do ucha:

- Światło jest wokół ciebie, zawsze i wszędzie.

Musisz się jedynie otworzyć na jego przyjęcie. Otwórz się, a spłynie na ciebie.

- Wchłaniam światło - znów usłyszał słowa Holly.

Teraz wyraźnie zobaczył ciepłe białe światło, spływające na niego od głowy aż po stopy, aż po koniuszki palców.

Wstępowało w niego. Nieoczekiwanie poczuł się nieprawdopodobnie lekki, rozluźniony i radośnie spokojny.

- Wydzielam światło.

Skye wyciągnął przed siebie rozłożone dłonie, tak jak wcześniej pokazała mu Holly. Niechcący musnął jej rękę. Natychmiast otworzył oczy, ona też.

- Podążam ku światłu - powiedziała stanowczym tonem. Jego poprzedni nastrój zniknął w jednej chwili.

Ogarnęło go pragnienie, z którym nie miał siły walczyć.

Pożądał tej kobiety, która stała przed nim, taka wysoka i szczupła, taka piękna, taka zachwycająca.

Pragnął jej. To ku niej wyciągał ręce w ciemności, o niej marzył i śnił każdej nocy.

- Holly - odezwał się, przerywając jej zaklęcia.

Nie odpowiedziała.

- Holly - powtórzył, podchodząc bliżej.

Musiało być coś dziwnego w jego głosie, bo dziewczyna opuściła ręce, jakby obdzielając go światłem, a może broniąc się przed nim?

Dopiero teraz otworzyła oczy, sięgnęła do skórzanego woreczka przy pasku. Wysypała na wyciągniętą dłoń jakieś zioła o intensywnym zapachu.

- To jeszcze nie wszystko - oznajmiła, jakby z góry chcąc przekreślić wszelkie próby zakłócenia ceremonii.

- Teraz rzuć w ogień to, co przeszkadza ci żyć.

Cholera, pomyślał.

- A jeśli nie chcę niczego odrzucać?

- Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś, kto miałby z tym trudności - uśmiechnęła się Holly.

- Nie jestem pewien, czy wiem, o co chodzi. Może ty zaczniesz.

Holly skinęła głową i cisnęła w ogień garść ziół.

- Bądź błogosławiony.

- Zawsze to mówisz. Co to oznacza? Czy to coś takiego jak „amen”?

- Tak. I jeszcze więcej: pozdrowienie, pożegnanie i modlitwa dziękczynna. To uświadomienie sobie ogromu wszechświata i powszechne błogosławieństwo.

- Ach, tak. Rozumiem. Bądź błogosławiony.

Uśmiechnęła się do niego, potem zacisnąwszy palce na trzymany w dłoni ziołach, zamknęła oczy i przyklękła na ziemi. Wyglądało to tak, jakby oddawała się medytacji. Zaczepnęła powietrza i delikatnie dmuchnęła na zaciśniętą dłoń.

- Rzucam w ogień cienie mojej przeszłości - odezwała się

ledwie słyszalnie. - I moje lęki przed zmierzeniem się z tym, co się kiedyś stało. - Rozluźniła palce, pozwalając, by ogień pochłoniął zdmuchnięte zioła.

Hmm, ciekawa modlitwa, pomyślał Skye. Ciekawe ile trzeba czasu, by poskutkowała.

Holly podniosła się, cofnęła i gestem zaprosiła go, by podszedł bliżej. Powietrze było przesycone zapachem spalonych ziół. Skye pochylił się, ciągle nie wiedząc, co powiedzieć. Nieoczekiwanie usłyszał własne słowa:

- Rzucam w ogień moje niezdecydowanie, które powstrzymuje mnie przed sięgnięciem po rzeczy czy ludzi, dzięki którym mógłbym być szczęśliwy.

Rzucił w ogień garść ziół. Drobne iskierki rozświetliły ogień, okruchy ziół zapłonęły w nim na mgnienie mocnym światłem, jakby jakieś czuwające obok siły dały znak, że usłyszały jego życzenie. Skye podniósł głowę i napotkał wzrok Holly. Zarumieniła się lekko.

Słyszała jego słowa.

- I co teraz? - zapytał.

Holly uśmiechnęła się promiennie.

- Teraz zatańczymy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Z koszyka, który przyniosła ze sobą do ogniska, Holly wyjęła coś, czego nigdy by się nie spodziewał - mały magnetofon na baterie. Włączyła go. Po chwili rozległa się muzyka, przypominająca brzmieniem muzykę amerykańskich Indian. Niskie, zmysłowe tony fletu mieszały się z dźwiękami bębnów. Zamknąwszy oczy, Holly

powoli poruszała się w rytm muzyki, łagodnie poddając się jej czarowi.

Skye przypatrywał się jej, czując się jak podglądacz.

Muzyka całkowicie ją pochłonęła. Był niemal pewien, że nie zerka spod rzęs, nie sprawdza, czy on też tańczy.

Nawet nie miał zamiaru próbować. Ale muzyka okazała się silniejsza. Nie wiadomo kiedy jego stopy zaczęły poruszać się w jej rytmie, jakby istniały niezależnie od niego. Uderzenia bębna przybierały na sile, stawały się coraz szybsze. Skye okrążył ognisko, próbując zbliżyć się do Holly, ale ona umykała przed nim. Podgląda, pomyślał z rozbawieniem. Jeszcze nie skończył zastanawiać się nad tym, kiedy otworzyła szeroko oczy, popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

- Chodź - zachęciła go. - Jesteś zbyt sztywny.

Rozluźnij się. Poczuj muzykę. Tańcz całym ciałem.

- Nie potrafię. Czuję się głupio.

- Bzdura.

Znów uśmiechnęła się do niego, ale tym razem inaczej, prowokująco, jakby rzucała mu wyzwanie.

Lekkim ruchem dłoni zachęcała go do tańca, ale umknęła, kiedy spróbował się do niej zbliżyć. Odrzuciła w tył głowę i odwróciwszy się na pięcie, zawirowała w tańcu. Po chwili znów odwróciła się twarzą ku niemu, kołysząc biodrami w rytm muzyki.

Zaschło mu w gardle.

Z trudem przełknął ślinę, uniósł ręce nad głowę.

Gwałtownie szarpnął biodrami, poddając się muzyce.

Holly wybuchnęła śmiechem i powtórzyła jego ruch, w jednej

chwili zmieniając się z natchnionej leśnej boginki w swawolną tancerkę.

Zupełnie przestał myśleć o tym, jak głupie były te tańce wokół ogniska w środku nocy. Krew burzyła mu się w żyłach, dusiła go nabrzmiewająca tęsknota, słodki lęk. Zakołysał się gwałtownie, jakby chciał, by jego ciało przemówiło, dało Holly sygnał. Miarowe dźwięki indiańskich bębnow narastały, poruszał się w ich rytmie przepelniony przenikającą go namiętno ścią, marząc o Holly, o upajającym, słodkim dotyku jej nagiego ciała w jego ramionach.

Nie potrzebował słów, kiedy zatańczyła przed nim - uwodzicielsko, kusząco, obiecująco. Gdyby tylko nie była tak daleko, gdyby nie uciekała natychmiast, gdy tylko postąpił choćby krok w jej stronę!

Raz już niemal pochwycił końcami palców kolorową szarfę, którą Holly była przepasana w talii, ale dziewczyna płynnym ruchem przegięła się w bok i umknęła przed nim. Przy którymś z kolejnych obrotów jej rozwiane włosy musnęły jego twarz, owiewając go delikatną, podniecającą wonią. Holly tańczyła na czubkach palców, zdawało się, że jej stopy nie dotykają ziemi, wymykała się jego niezręcznym rękami, ulotna i jakby nierealna. Bogini i śmiertelnik.

Już nie wiedział, czy kiedykolwiek uda mu się ją schwycić.

Oszołomieni tańcem oddalili się o kilka metrów od ognia aż na skraj polany. Uśmiechając się i wyginając zmysłowo, Holly uwodziła go, otwarcie prowokowała.

Tuż za jej plecami wyrastał potężny dąb, pochłonięta tańcem zbliżała się coraz bardziej do jego pnia. Skye jednym skokiem rzucił się ku niej. Pochyliła się gwałtownie, próbując mu umknąć, ale było

za późno.

Wpadła w pułapkę.

Przepeliło go uczucie triumfu. Teraz nie pozwoli jej uciec. Przyparł ją całym ciałem do drzewa, a kiedy uniosła w górę rękę, pochwycił i unieruchomił jej nadgarstki. Wolną ręką dotknął jej zarumienionych policzków, delikatnie musnął rozchylone usta, przeciągnął palcami po szyi, dekolcie, poczuł łagodnie krągłe piersi.

Wreszcie osaczył tę boginkę, ale Holly nie próbowała mu umknąć. Jęknęła cicho, kiedy dotknął jej ust.

Gorący, rozpaczliwy pocałunek, który mu oddała, palił jego usta, wystarczał za słowa. Pragnęła go, wiedział o tym. To była magiczna noc, a niesamowita sceneria otaczającego ich lasu, oświetlonego blaskiem płonącego ognia i uniesienie wywołane tańcem, odsunęły w mrok jej lęki.

Skye objął ją delikatnie i, nie odrywając od niej złaknionych ust, ostrożnie odsunął ją od drzewa.

Przykleknąwszy na jedno kolano, łagodnie położył ją na ziemię niedaleko ognia. Popatrzył na nią badawczo, czekając na jakąś oznakę lęku, ale Holly tylko się uśmiechnęła.

Nie mógł oderwać oczu od na wpół rozchylonych ust, długich, czarnych włosów przykrywających piersi.

Oddychała urwanie, płytko. Marzył o tym, by strząsnąć te splątane loki, dotknąć jej skóry. Leżeć nago w jej ramionach okryty puklami włosów.

Pochylił się ku niej. Odsunęła się nieco, by zrobić mu miejsce. Miała nieprzytomne, zamglone oczy.

Może nadal była oszołomiona tańcem, tym całym magicznym

obrzędem. Może wcale nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje.

- Holly? Dobrze się czujesz?

- Tak, tak - wyszeptała.

Nachylił się i odszukał jej usta. Żarliwie przyjęła jego pocałunek, a on całował ją coraz bardziej namiętnie, coraz bardziej zmysłowo. Pieścił szyję, opuścił dłoń niżej, rozpiął guzik bluzki i z westchnieniem przesunął palcami po jej piersiach, zdumiewając się ich cudownie miękkim dotykiem. Holly jęknęła cicho, co dodało mu odwagi.

- Chcę się z tobą kochać - wyszeptał.

Nie odpowiedziała nic, ale jej ciało wyprężyło się w niespokojnym oczekiwaniu, gorąco, z drzeniem, przyjmowało jego pieszczoty, rozpalając jego zmysły, odbierając oddech, pogrążając go w radosnym przecuciu słodkiej rozkoszy.

Objęła go jeszcze mocniej i przyciągnęła do siebie, kiedy nie odrywając od niej ust, opadł na ziemię.

- Holly, jesteś pewna? - zapytał chrapliwym, nie-swoim głosem.

- Tak.

Czy naprawdę? Jak to się stało, że straciła kontrolę nad sobą? Był tak blisko, obejmował ją tak mocno.

Było tak wspaniale, cudownie.

Coś budziło się w jej krwi, nabrzmiewało i porywa ło. Przyjmowała to ze zdumieniem, nigdy wcześniej nie przeczuwając w sobie tego boskiego, palącego ognia.

Tak, to właśnie tak powinno być, przebiegło jej przez myśl, kiedy z żarem oddawała mu pocałunki. W lesie, w blasku ognia, na

łonie Matki Ziemi. A Skye Rawlins był właśnie długo oczekiwanym przez nią mężczyzną.

Jego naga skóra nęcąco błysnęła w świetle księżyca, kiedy ściągnął z siebie koszulę. Ma takie piękne ciało, pomyślała, nie mogąc oderwać od niego oczu.

Wcale się nie boję, zdumiała się. Nic mi nie grozi.

Skye uśmiechnął się do niej.

- Moja piękna boginko. Bądź teraz ze mną, w lesie, naga.

Holly z uśmiechem uniosła się z ziemi, podniosła ręce, gestem prosząc o pomoc. Skye przykląkł przy niej, pociągnął do góry delikatną tkaninę. Pieścił jej piersi, sięgnął do talii i niecierpliwie szarpnął w dół spódnice. Pomogła mu. Była teraz w samej bieliźnie.

- Boże, jaka jesteś piękna - wyszeptał Skye.

Przepelniona boską ekstazą, Holly zakołysała się w rytm muzyki, poddając się jej czarowi, tej magii biorącej swój początek z kultury dawnych mieszkańców tej ziemi. Odgarnęła w tył długie włosy, sięgnęła do zapięcia stanika, odrzuciła biustonosz od siebie.

Skye gwizdnął cicho na widok obnażonych piersi dziewczyny, dodając jej odwagi. Kołysząc się i nie spuszczać z niego oczu, szarpnęła ostatnią zasłonę.

Rzucił się ku niej, usłyszała jeszcze dźwięk rozdzieranego materiału i urwany oddech Skye'a. Serce jak oszalałe dudniło jej w piersi, oddając swoją energię Matce Ziemi, a on był tuż przy niej, z nią.

Zdawało się jej, że nie wytrzyma już jego pocałunków, cudownych pieszczot i miłosnych zaklęć, które szeptał jej do ucha. Oboje poddali się odwiecznemu rytmowi natury, ich serca trwały tuż

przy sobie, mieszało się ich bicie. Byli tak blisko, tak cudownie razem. Kochał ją, aż wreszcie cała jej świadomość skupiła się w jednym, jaśniejącym szkarłatnym świat łem punkcie.

- Skye? - wyszeptała, daremnie próbując odzyskać kontrolę nad sobą.

- Chodź, chodź ze mną - szepnął Skye. - Kochanie, chodź.

Nie mogła mu się oprzeć, nie mogła dłużej czekać.

Wierzyła mu, pragnęła go tak samo mocno jak on jej.

Nieprzytomnie, bez reszty, poddała się płonącemu w ich żyłach i spalającemu ich płomieniowi, dała się porwać potężniejszej z każdą chwilą namiętności, aż zachłyśnięci ostatnią falą rozkoszy opadli na ziemię stopieni ze sobą w uścisku.

- Tak - usłyszała jego zdyszany szept. - Och, tak, moja leśna boginko, tak.

Powoli uspokoiły się ich oszalałe serca, oddech stał się głębszy. Leżeli w milczeniu, objęci. Chyba skończyła się taśma, bo muzyka ucichła i głęboką ciszę przerywał tylko szum jesiennych liści i jakieś ledwie słyszalne tajemnicze odgłosy nocy.

- Holly, dobrze się czujesz? - zapytał Skye, unosząc się lekko.

- Tak, och tak.

Teraz jestem wolna, dodała w duchu. Tej nocy Willy Hess odszedł na zawsze.

- Jestem ciężki. A na ziemi jest mnóstwo rzeczy, które mogą skaleczyć twoją skórę.

- Nie, nic mi nie będzie - uśmiechnęła się do niego.

- Tak jest dobrze.

Pocałował ją w czubek nosa.

- Mnie też jest cudownie.

- To, co zrobiliśmy - powiedziała w rozmarzeniu - to błogosławieństwo ziemi.

- Tak?

- W zamierzchłych czasach, w ostatnią kwietniową noc, odbywało się święto Beltane, starodawne celtyckie powitanie wiosny. Mężczyźni i kobiety zbierali się w lasach i na polach, by uczcić pierwsze oznaki budzącej się do życia po długiej zimie ziemi. Kopano głęboką dziurę i wbijano w nią ozdobny pal. Miał to być symbol połączenia się kobiety i mężczyzny. Potem przywiązywano do niego kolorowe wstążki i, trzymając je, tańczono wokół, splatając je w warkocz, symbolizujący cudowne narodziny nowego życia, powstałego ze związku kobiety i mężczyzny. Po zakończeniu tańców, w czasie których uczestnicy doprowadzali się do ekstatycznego upojenia, łączono się w pary i oddawano świętej miłości.

- Nieźle, to mi się podoba. Ci poganie dobrze wiedzieli, jak się bawić. Mam tylko nadzieję - dodał, zerkając podejrzliwie na ziemię - że ten parzący bluszcz usłuchał cię i wyniósł się stąd. Inaczej przez parę dni będziemy tego żałować.

- Jeśli czegoś pożałujemy, to chyba nie tego, że leżeliśmy na bluszczu.

Skye przygarnął ją do siebie. Znów upoił go zapach jej włosów.

- Ja nie będę żałował. Jesteś moją żoną, Holly.

Teraz już naprawdę. I ja, który przez tyle lat tak sprytnie unikałem małżeństwa, czuję się wspaniale.

- Ja też - przytuliła twarz do jego szyi. - Skye?

- Uhm?

- A co powiesz tym podejrzliwym plotkarzom na temat moich nocnych leśnych obrzędów? - zapytała z cichym śmiechem.

- No cóż. Chyba będę musiał zapewnić Gallegera i jego kumpli, że ich szeryf zbadał sprawę i stwierdził, że w czasie tych nocnych spotkań nie dzieje się nic nadzwyczajnego, że to zwykła dziecinada: zabawy przy ognisku, śpiewanie pieśni. Przekonam ich, że po prostu jesteście kimś w rodzaju starszych harcerek.

- I myślisz, że ci uwierzą?

- Jeśli nie, to trudno. Zresztą chyba trochę przesadziłem z tymi ich skargami - wyznał. - Nie było aż tak źle. To ja szukałem pretekstu, żeby pójść i zobaczyć na własne oczy, co tam robicie.

Holly pokiwała głową, jakby potwierdziły się jej podejrzenia.

- Chytry człowiek z ciebie, szeryfie.

- A z ciebie prawdziwa czarownica, przy ogniu kumająca się diabłem!

Holly roześmiała się, pogładziła jego ciemne włosy.

- I z tobą. Tamtej nocy, kiedy wynurzyłeś się z lasu na czarnym koniu, wyglądałeś zupełnie jak szatan.

- Mogę to znów odegrać - ożywił się Skye - jak tylko dotrzemy do domu. - Sięgnął po porozrzucane ubrania. - Chodźmy. Skoro mamy już za sobą błogosławieństwo ziemi, chętnie wypróbuję swoją diabelską siłę w wygodnym, ciepłym łóżku.

Holly włożyła ubranie i ugasiła święty ogień, zasypując go kamieniami i ziemią. Ale Skye dostrzegł, że nim jeszcze zgasł, szepcząc coś, Holly rzuciła w płomienie garść ziół. Ciekawe, o co prosiła, czy jej życzenie miało jakiś związek z nim, czy zostanie spełnione? pomyślał.

Kiedy zagasła ostatnia czerwona iskierka i ogarnęła ich ciemność, poczuł jakiś atawistyczny lęk. Dzisiejszej nocy on i Holly przekroczyli granicę. Nie mają już drogi powrotu. I nie wiadomo, co się jeszcze wydarzy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Wybieram się dzisiaj na polowanie - oznajmił Skye któregoś ranka kilka tygodni później.

Holly leżała w łóżku, jeszcze nie całkiem przebudzona, zapatrzona w przesuwane się pod zamkniętymi powiekami obrazy, senne marzenia czy wspomnienia wczorajszej nocy ze Skye'em, ich splecione ciała, zdyszane oddechy, gorące namiętne szepty...

- Chcesz iść ze mną?

- Mhm, tak, chcę - odrzekła sennie.

Stał tuż przy łóżku i patrzył na nią z uśmiechem.

Oczy mu błyszczały, obiecywały coś...

- Mówiłem o polowaniu - powtórzył głośniejszym głosem.

- Nie kuś mnie, czarodziejko. Do niczego mnie nie namówisz. Zabieram Barny'ego i idę polować na bażanty. Jake miał iść ze mną, ale coś mu wypadło.

Mogę iść sam, ale wolę być z kimś. Wiem, że nienawidzisz polowania i gardzisz myśliwymi, ale pomyślałem sobie, że mogę cię zapytać.

- Rzucasz rękawicę, tak? A co będzie, jeśli cię zaskoczę i zgodzę się?

- Byłbym zachwycony. Już najwyższy czas, żebyś odrzuciła te swoje bezsensowne uprzedzenia.

- Ach tak! - wykrzyknęła, szeroko otwierając oczy.

- Z tego co wiem, twoje poglądy nie różnią się zbyt od moich. Z wyjątkiem tego jednego.

- Wszystkie zwierzęta polują. Nawet ty. Za każdym razem, kiedy zrywasz mniszek lekarski, bo potrzebujesz jego korzeni, odbierasz mu życie.

- A ty nigdy nie przestaniesz mi tego wymawiać - pobłażliwie pokiwała głową Holly. Odgarnęła w tył włosy. - Potrafisz się przyczepić.

Skye z uśmiechem rozsunął zasłony. Holly aż jęknęła na widok ciemnego nieba, z ledwie widzialnym przebłyskiem zwiastującym nadejście świtu.

- Wstawaj, kotku.

- Z całą pewnością nawet bażanty jeszcze śpią o tej porze - mruzczała, wkładając ciepłą podomkę.

- Czy to znaczy, że idziesz? - zapytał Skye z wyraźnym zdziwieniem w głosie.

- Tylko dlatego, że chcę zerwać parę roślin, póki jeszcze nie nadeszła zima. Zanim - dodała zjadliwie - umrą śmiercią naturalną.

- Przygotuję śniadanie, kiedy ty będziesz się ubierać. Włóż pod spód coś ciepłego. Możemy zmarznąć.

Kiedy kilka minut później czesała się przed lustrem, zachodziła w głowę, dlaczego przyjęła jego zaproszenie. Była pełnia sezonu myśliwskiego, codziennie dochodziły ją odległe odgłosy strzałów. Sama trzymała się z daleka od lasu i pól. To był najbardziej niebezpieczny okres dla wszystkiego, co żyje. Skye już kilka razy brał udział w polowaniach. Wracał z nich ob ładowany sprawioną i

gotową do zjedzenia zdobyczą, ale ona niezmiennie odmawiała udziału w uczcie. Do tej pory udało jej się uniknąć nieporozumień na ten temat. Za bardzo była zakochana w Skye'u.

Nie potrafiła przypomnieć sobie takiego okresu w swoim dorosłym życiu, w którym byłaby bardziej szczęśliwa. Małżeństwo, zawarte z taką niechęcią i z takimi obawami, okazało się znacznie bardziej udane, niż którekolwiek z nich mogłoby przypuszczać.

Jeszcze przed tą nocą w lesie czuli się ze sobą dobrze, a kiedy runęły ostatnie bariery, ich więź jeszcze się zacieśniła.

Okazało się, że oprócz atrakcyjności fizycznej pociąga ich coś więcej - duchowe pokrewieństwo, którego wcale się nie spodziewali. Teraz, kiedy poznali się lepiej, Holly była przekonana, że musieli się znać w poprzednich wcieleniach. Potrafili porozumiewać się ze sobą bez słów, odczuwać swoje nastroje, czytać w swoich myślach. To tylko dowodziło ich duchowego powinowactwa.

Poza tym rozwiały się jej obawy związane z małżeństwem. Skye okazał się tkliwym i czułym kochankiem, a łącząca ich namiętność nadała życiu blasku i radości.

Jedynym cieniem były dziwne, przerażające sny, jakie czasami ją nawiedzały. Zwykle budziła się wtedy z płaczem i gwałtownie bijącym sercem, drżąc na całym ciele, oblana zimnym potem. Skye próbował uspokajać ją, tulił do siebie. Z tych snów pamiętała ledwie jakieś strzępy obrazów, ale wiedziała, skąd się biorą.

Wiedziała, ale chciała zapomnieć.

- Nadejdzie dzień, że będziesz musiała się z tym zmierzyć - powiedział jej kiedyś w Sedonie terapeuta.

- Może masz rację, że jeszcze na to nie pora, ale wcześniej czy

później tak się stanie. Wypieranie czegoś z pamięci, niedopuszczanie do świadomości zagrażających sygnałów, jest typowym i skutecznym mechanizmem obronnym, ale działa na krótką metę i prawie zawsze jest podłożem lęków i agresji. Chociaż często prowadzi do pogodzenia się z tym, co się kiedyś wydarzyło.

Skye by pewnie powiedział, że najważniejszy jest efekt.

Jeszcze nie skończyła się ubierać, a już pożałowała swojej decyzji. Czy potrafi to wytrzymać? Jak zniesie polowanie, zwłaszcza jeśli według oceny Skye'a będzie udane? Jak zareaguje na widok męża niosącego zdobycz?

Do tej pory widziała w nim czułego kochanka, rozumiejącego ją i darzącego ciepłem męża. Ten obraz przesłaniał jej innego Skye'a - mordercę niewinnych zwierząt, myśliwego tropiącego i osaczającego ofiarę.

Skye'a, na którego rękach była krew.

Zadrzała, czując, że coś w środku ją paraliżuje. Nie idź. Powiedz mu, że źle się czujesz, że zmieniłaś zdanie, cokolwiek. Ale nie bądź przy nim, kiedy będzie zabijał.

- Na litość boską, weź się w garść! - powiedziała na głos do siebie.

Musi to zrobić. Tamtej nocy, kiedy była ostatnia pełnia księżyca, Skye poszedł z nią do lasu, by zrozumieć jej miłość do roślin i natury. Przyłączył się do niej, potraktował poważnie jej misterium. Tańczył razem z nią. Ich miłosny związek był dopełnieniem obrządku, a ziemia, księżyc i gwiazdy udzieliły im swego błogosławieństwa. Zaakceptował ją taką, jaka jest. Teraz pora na nią. Nadszedł czas, by spróbowała zrozumieć jego racje i

zaakceptowała go. Skye'a Rawlinsa. Męża. Myśliwego.

- Nie będziemy polować w lesie? - zdziwiła się Holly, kiedy Skye zatrzymał dżipa na poboczu zakurzonej drogi przecinającej szeroką łąkę.

- Szukamy bażantów - wyjaśnił, wysiadając z auta i otwierając tylne drzwi, by wypuścić podekscytowanego, radośnie ożywionego psa. - Gdybyśmy mieli polować na cieciorniki, za czym przepadam, tropilibyśmy je w gęstym lesie. Zabrałbym wtedy mojego parkera. Ale na bażanty wziąłem tę dubeltówkę kaliber 12 - mówiąc, wyjmował broń, ostrożnie i z atencją.

Holly skrzywiła się. Mężczyźni i te ich strzelby.

Wypuszczony na wolność, Barny pędem rzucił się na rozciągające się przed nimi pole. Skye gwizdnął na niego, pies zatrzymał się, odwrócił w jego stronę, z żalem popatrzył na pełną pokus łąkę i z wyraźną niechęcią zawrócił.

Holly wiedziała, że zadanie psa polegało nie tylko na zwęszaniu ptaka, ale na osaczeniu i wypłoszeniu go w odpowiednim momencie, by poderwał się do lotu.

Dla Barny'ego to był dopiero pierwszy sezon i nie miał jeszcze doświadczenia, tłumaczył jej w aucie Skye, więc może nie pójdzie im tak dobrze, jak wtedy, gdyby zamiast niego miał doskonale wyszkolonego psa.

- Barny jest chętny i instynktownie wie, czego się od niego oczekuje, ale jeszcze nie potrafi pracować z myśliwym. Dlatego może popełniać błędy.

- Jakże na przykład?

- Broń ma zasięg mniejszy niż czterdzieści metrów.

Jeśli wypłoszy ptaka na większej odległości, nie zdołam go ustrzelić.

Skye przygotował broń, napełnił kieszenie nabojami.

- Włóż teraz tę pomarańczową kamizelkę, Holly, i ruszamy.

- Nie mogę się już doczekać - parsknęła i zawstydzila się swojego sarkazmu, kiedy Skye spojrzał na nią uważnie.

- Słuchaj, jeśli wolisz zostać w samochodzie...

- Nie, przepraszam, Skye. Obiecałam sobie, że nie będę się tak zachowywać. To tylko... nie jest dla mnie łatwe.

- Wiem. I doceniam, że próbujesz mnie zrozumieć.

Jesteś pewna, że nie zapomnisz o tym, co ci mówiłem na temat zachowania bezpieczeństwa na polowaniu?

Holly skinęła głową. W czasie jazdy dokładnie poinstruował ją, co robić, by nie narazić się na niebezpieczeństwo postrzału.

- Zawsze trzymaj się za mną. Jeśli usłyszysz szum skrzydeł podrywającego się ptaka, stój bez ruchu. Bez względu na to, co się dzieje, nie biegnij w jego stronę ani nie rób niczego, co wprowadziłoby cię na linię ognia.

- Nie ma mowy - skrzywiła się Holly. - Ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła, to żebyś zastrzelił mnie przez przypadek. - Wskazała gestem na strzelbę. - Nie naładujesz jej?

- Właśnie zamierzałem to zrobić. Przyjrzyj się.

I przestań patrzeć na broń tak, jakby to był wąż.

- Wcale tak nie patrzę. Lubię węże.

- Ten winchester ma dwie lufy, więc jednocześnie mogę załadować dwa naboje. Oto one - wyciągnął dłoń w jej stronę. - Numer cztery. Numer oznacza rozmiar śrutu, który mieści się

wewnątrz.

- Im mniejsze zwierzę, na które polujesz, tym wyższy numer, ale mniejszy rozmiar śrucin.

Obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Nie przypuszczałem, że się w tym orientujesz.

- Byłbyś zaskoczony, gdybyś usłyszał, co jeszcze wiem - odrzekła Holly, wyjmując strzelbę z jego ręki, łamiąc ją i sprawnie załadowując obie lufy. Sprawdziła ją i oddała mu z powrotem, uśmiechając się na widok zaskoczenia malującego się na jego twarzy.

- No, no - Skye nie krył zdumienia. - Widać, że miałaś do czynienia z bronią.

- A myślałeś, że co? W końcu wychowałam się w Montanie. I byłam wnuczką Toma MacLeisha.

- Zabierał cię na polowania?

- Jeśli nawet, to tak dawno temu, że niczego nie pamiętam.

Kiedy wypowiadała te słowa, znów ścisnął ją w środku jakiś niepokój. Nie rób tego. Zaczekaj w aucie. Na moment zamknęła oczy. Nie, dość tego uciekania od rzeczywistości, stwierdziła stanowczo. Jeśli przez to powrócą jakieś wspomnienia, to trudno. Już miała dość odsuwania od siebie tego, co zdarzyło się w przeszłości.

- Holly, co z tobą?

- W porządku. Chodźmy już.

Poranek był cichy, chłodny, spowity mgłami. Wiał słaby wiatr. Wynurzające się powoli słońce zapowiadało piękną pogodę. Przedzierali się przez łąkę porośniętą wysoką, suchą trawą. Skye odwrócił się do Holly.

- To jedna z rzeczy, dla których tak pociąga mnie polowanie - wyszeptał, zatrzymując się i czekając, aż Holly znajdzie się tuż koło niego. - Popatrz tylko na niebo, zobacz, jak wschodzące słońce prześwieca przez mgłę. Posłuchaj śpiewu ptaków.

- Chyba śpiewają głośniej niż zwykle.

- Właśnie. Wszystko wydaje się inne, bardziej wyraziste. To dlatego, że nasze zmysły są pobudzone, jesteśmy czujni, zjednoczeni z naturą. Teraz jesteśmy jej częścią. Zazwyczaj nie zwracamy na to uwagi. Ale żeby znaleźć bażanty, musimy zacząć myśleć tak jak one, utożsamić się z nimi. Zawsze staram się postawić na ich miejscu, zastanawiam się, gdzie czułbym się bardziej bezpieczny - w wysokiej trawie na skraju pola czy raczej w tej małej kotlinie? W którą stronę rzuciłbym się do ucieczki, gdybym usłyszał szczekanie psa? Gdzie szukałbym kryjówki? W jakim momencie poderwałbym się do lotu? Będąc myśliwym, jednoczę się z ofiarą.

- A ze mnie się wyśmiewałeś, kiedy opowiadałam ci o tym parzącym bluszczu.

- Fakt - przyznał. - Być może to, co oboje robimy, nie różni się od siebie tak bardzo.

Możliwe, zamyśliła się Holly. Kiedy starała się odnaleźć jakąś roślinę, zawsze stawiała się na jej miejscu, próbowała wczuć się w nią, zastanawiała się, jaka okolica najbardziej by jej odpowiadała, gdzie miałyby najlepsze warunki do życia. Stawała się jej duchową siostrą i usiłowała nawiązać z nią psychiczny kontakt, kierując się ku niej jak w transie. Zwykle miała wrażenie, że jej prośby odnoszą skutek, że to dzięki nim zazwyczaj odnajdywała poszukiwaną roślinę.

Wtedy, jeśli podświadomie czuła, że otrzymuje na to zezwolenie, zabierała ją. Zabijała. Nigdy nie wyrywała wszystkich rosnących wokół roślin, nie zbierała młodych, dopiero wyrastających. Bez względu na to, jak bardzo by jej się przydały, nigdy nie zrywała zagrożonych, rzadkich gatunków.

Dopiero teraz dotarło do niej, że Skye też przestrzegał podobnych zasad. Polował tylko w czasie sezonu łowieckiego i tylko na gatunki, które występowały w nadmiarze. Dzisiaj zamierzał polować na samce bażantów. W większości stanów polowanie na samice jest zabronione.

- A jak je odróżnisz? - zapytała go zdziwiona.

- Po kolorze piór. Samce mają czerwone plamy w okolicy dzioba.

- Ale jeśli ptak nagle poderwie się do lotu, to przecież ich nie zobaczysz.

- Jeśli masz choćby cień wątpliwości, nie strzelasz.

Tak samo było z roślinami. Zrywała je tylko wtedy, jeśli ich potrzebowała. Resztę zostawiała. Za bardzo kochała naturę, by celowo zakłócać istniejącą w niej równowagę, jej coroczny rytm wzrastania i umierania.

- Patrz! - cichym, podekscytowanym głosem odezwał się Skye. - Barny złapał trop.

Pies, popiskując i wymachując ogonem, biegał wzdłuż ciągnącego się zbitego kłębowiska głogów.

- Już zaczął. - Skye, przedzierając się przez wysoką trawę i podnosząc do oka strzelbę, kiwnął głową w stronę Holly. - Pospieszmy się. Ptak zaraz znajdzie się poza zasięgiem strzału.

Holly ruszyła za nim. Czowała, jak krew szybciej zaczęła krążyć w jej żyłach. Tak samo jak Skye i Barny chciała odnaleźć ptaka. W tym poruszaniu się po jego tropie było coś odwiecznego, jakby naraz odezwał się w niej jakiś pierwotny instynkt.

- Ptaki żerują w trawie, ale teraz schroniły się tutaj - wyszeptał Skye, skradając się powoli, aż znalazł się zaledwie kilka metrów od podnieconego psa, próbującego się do nich dostać. - Zwykle wolą uciekać, ale jeśli nie mają wyjścia, wtedy wzlatają w górę.

- Gdzie on jest? - szeptem zapytała Holly, kucając obok Skye'a i przyglądając się psu.

- Tutaj. Poczekaj. Jeszcze tylko chwila.

Barny obejrzał się na swego pana, jeszcze raz machnął ogonem i rzucił się przed siebie. Skye błyskawicznie uniósł broń. W powietrzu rozległ się łopot skrzydeł. Skye w jednej chwili rozpoznał, że ptak jest samcem, dotknął cyngla, ale zamarł na widok twarzy Holly.

Bażant poszybował w dal. Skye wziął go na muszkę, ale już było za późno, ptak był za daleko.

Skye opuścił strzelbę. Barny, nie wiedząc, co się dzieje, pytająco patrzył na pana. Przecież zrobił to, co do niego należało. Dlaczego pan się spóźnił?

Holly odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła śmiechem. Objęła męża i uścisnęła go mocno.

- Dziękuję, Skye. Mogłeś go zabić, wiem. Był taki piękny. Dziękuję, że pozwoliłeś mu żyć.

Nieoczekiwanie wezbrała w nim złość. Co mu się, do cholery, stało? Przecież powinien strzelić. Dlaczego nie nacisnął spustu?

- Źle postąpiłem. Do diabła! To nie w porządku wobec psa. Nie rozumiem, co się stało.

Zresztą wobec mnie to też nie w porządku, pomyślał. I nawet wobec ciebie, Holly.

Zaproponował jej udział w polowaniu, bo uważał, że sprawy doszły do punktu, w którym należało jasno określić swoje stanowisko. Chciał, by zobaczyła go w innym świetle, poznała jego naturę, zrozumiała go i, co było najważniejsze, zgodziła się zaakceptować go takim, jakim był naprawdę.

Najwyraźniej nie było na to żadnych szans. Spojrzał na jej roześmianą, szczęśliwą twarz. Myśli, że mnie zna, ale tak nie jest.

Gdyby był teraz sam, upolowałby tego bażanta.

Pochylił się i pogłaskał psa. Nie powinienem jej ze sobą zabierać. Już nigdy więcej tego nie zrobi.

Kwadrans później Barny zwęszył kolejnego ptaka.

Tym razem Skye się nie wahał. Szybko ruszył za psem, zostawiając Holly w tyle, niczego nie próbując jej tłumaczyć. Taki właśnie jestem! chciał wykrzyknąć jej prosto w twarz. Uwielbiam polować! Do cholery, taki jestem!

Barny zaskoczył go swoją zmyślnością, kiedy nim skoczył w zarośla, obejrzał się, sprawdzając, czy pan podąża jego śladem.

- Dobry piesek - wymruczał Skye. - Mądry.

Nim ptak pofrunął w górę, Skye już zawczasu stał z bronią gotową do strzału. Wszystko szło gładko i spokojnie, tak jak tysiące razy przedtem.

Ptak zakreślił łuk w powietrzu, Skye złożył się do strzału, nacisnął spust i pocisk poszybował w niebo, uważnie obserwowany

przez człowieka i psa.

Bazant jeszcze nie dotknął ziemi, kiedy Barny już pędził w jego stronę. Na chwilę zniknął swemu panu z oczu w wysokiej trawie. Kiedy wynurzył się z niej, w jego szeroko otwartym pysku łagodnie kołysała się upolowana zdobycz. Uroczyście i dumnie przyniósł łup i złożył go u stóp pana.

- Dobry piesek - pochwalił Skye, poklepując go i unosząc martwego ptaka. Nawet doświadczonym myśliwym zdarzało się czasem, że strzał nie był śmiertelny co zawsze było powodem dojmującego poczucia winy. - Popisałeś się, Barny. Zresztą poprzednim razem też. Dobry piesek.

Dopiero kiedy wystarczająco wychwalił psa, odwrócił się do nadchodzącej Holly. Ruszył w jej stronę.

Z pobladłą twarzą stała jak sparalizowana, oczy błyszczały jej nienaturalnie.

Nie odrywając oczu od martwego bażanta, powoli pokręciła głową.

- Chciałabym już pojechać do domu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Zgoda. Kolację już mamy. Możemy wracać.

- Jeśli myślisz, że będę jeść tego ptaka...

- Nie zabija się czegoś, jeśli nie chce się jeść.

- To myśliwska etyka, tak? - Wzruszyła ramionami, jakby próbując się opanować. - Przepraszam.

Wiesz, kiedy nie strzeliłeś do tego pierwszego, pomyślałam sobie... - głos jej się łamał. - Nie potrafię cię zrozumieć - dokończyła.

Patrzył na nią w milczeniu. Niestety, nie potrafisz, pomyślał ze

smutkiem. I pewnie nigdy mnie nie zrozumiesz.

Holly spojrzała na ptaka. Nagle schwyciła się ręką za szyję. Trzęsącą się dłonią wskazywała na bązanta, którego pióra kołysały się poruszane wiatrem. Z trudem łapała powietrze, dławiała się.

- On nie jest martwy, nie zabiłeś go! Ty potworze, dręczysz tego ptaka... on jeszcze żyje.

- Ależ skąd, jest martwy - zaprzeczył Skye.

- O Boże! - Holly zasłoniła rękami oczy, zachwiała się, jakby miała upaść. - Umierają w męczarniach, powoli - wyszeptwała. - O Boże, tak długo się męczą.

- Na Boga!

Skye odrzucił strzelbę i ptaka, pobiegł ku Holly, w ostatniej chwili chwytając ją i podtrzymując. Oparła się o niego i osunęła na kolana, jęcząc cicho.

- Holly? - Ukląkł obok niej, otoczył ramieniem.

Była zimna jak lód, wstrząsało nią łkanie. - Holly, co ci jest? Przecież nic się nie stało. - Delikatnie gładził ją po włosach, po ramionach. - Jestem przy tobie, Holly.

Nic ci nie grozi.

- Och, Skye - załkała, przyciskając twarz do jego kurtki, i zanosła się płaczem.

Nie mogła opanować płaczu. Łzy płynęły jej po policzkach przez całe popołudnie i wieczór. Chwilami jej ciałem wstrząsało łkanie, ale przez większość czasu siedziała cicho, bez najmniejszego ruchu.

Zupełnie przestała nad sobą panować. Przerażało ją to w tej samej mierze co wspomnienia, które napłynęły nieoczekiwanie. A

zawsze była taka dumna ze swojej powściągliwości i zimnej krwi.

Skye po wielokroć próbował przemówić do niej, skłonić ją do wyrzucenia z siebie lęku, wyjaśnienia mu przyczyny płaczu. Przytłoczyło go poczucie winy, widziała to w jego udreńczonych oczach.

Ale choć chciała go pocieszyć, nie mogła wydusić z siebie słowa. Jak miała mu to powiedzieć?

Dochodziła dziewiąta, kiedy sięgnął po telefon, by zadzwonić do Jake'a i prosić go o pomoc. Odwiodła go od tego zamiaru.

- Nie, Skye, proszę. Nie potrzeba mi lekarza. Nic mi nie jest.

- Kochanie, płaczesz cały dzień. Martwię się.

- Muszę się wypłakać. Nie próbuj mnie powstrzymać.

- Ale dlaczego płaczesz?

- Z powodu tych wszystkich bezbronnych zwierząt i ptaków - wyszeptała, zanosząc się płaczem.

- Nie zabiłem ich aż tyle - z przejęciem i rozpaczą zapewnił ją Skye.

- Nie ty - wydusiła. - Nie ty, Skye.

- W takim razie kto, na litość boską?

Wyszeptała ledwie słyszalnie:

- Willy Hess.

- Tak przypuszczałem - odrzekł z westchnieniem.

- Opowiesz mi o nim?

- Nie mogę - potrząsnęła głową. - Nie mogę.

- Przypomniałaś sobie coś?

- Tak. O Boże, tak.

- Coś, co się kiedyś wydarzyło i o czym chciałaś zapomnieć,

tak?

- Nie mogę o tym mówić. Po prostu nie mogę.

Siedział obok niej na krawędzi łóżka. Otoczył ją ramieniem, przytulił do siebie. Nawet w jego objęciach nie potrafiła się rozluźnić.

- Posłuchaj, kotku. Nie ma takiej rzeczy, o której nie mogłabyś mi opowiedzieć. Cokolwiek to jest, wyrzuć to z siebie, a poczujesz się lepiej.

- Może kiedyś. Może jutro. Nie dzisiaj.

- W takim razie jutro. Nie będę nalegał, kochanie.

Jesteś głodna? Zmęczona? Chcesz zasnąć?

- Tak - szepnęła. - Nie puszczaj mnie, proszę.

Trzymaj mnie. Pomóż mi usnąć.

Wyciągnął się na łóżku obok niej, zgasił światło, przytulił do ją mocno do siebie.

- Już wszystko dobrze, kotku - szeptał do niej.

- Jestem z tobą. Tu jesteś bezpieczna. Teraz zaśnij.

Obudziła się z krzykiem. Była związana, nie mogła się poruszyć, nic zrobić. Silny, bezlitosny mężczyzna przygniatał ją do ziemi, chciał zrobić jej coś złego.

Błysnął nóż...

Walczyła rozpaczliwie, próbując się uwolnić, odepchnąć go od siebie, krzyczała z całych sił, póki nie zasłonił ręką jej ust, dławiąc jej rozpaczliwe wołanie...

- Już dobrze, Holly, uspokój się. To ja, kochanie.

Jestem tu. Już dobrze.

Zdjął rękę z jej ust, wreszcie mogła krzyknąć.

Przebudziła się zupełnie. Nie krępował jej, tulił ją tylko. We śnie splątały się ich nogi. Nie chciał zrobić jej nic złego. Przecież to jej mąż, jej kochanek. To Skye.

Napięte mięśnie rozluźniły się, z oczu znów popłynęły łzy.

- Przepraszam cię. Sama nie wiem... myślałam, że chcesz mnie skrzywdzić. Chyba mi się coś śniło.

- Nigdy cię nie skrzywdzę, Holly. Kocham cię.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że powiedział to po raz pierwszy. Tak długo czekała na te słowa, tęskniła za nimi. Teraz ona powinna mu odpowiedzieć, czuła, że czekał na to. Powinna powiedzieć, że ona też go kocha.

Dlaczego tak długo to odkładał? pomyślała z żalem.

Chciała mu odpowiedzieć, ale dzisiaj, z jakichś powodów, nie mogła tego zrobić. Jeszcze nie uporała się z koszmarem, który ją dręczył. Nie mogła wykrztusić teraz tych słów. Milczała.

- Dobrze, że ten Hess już nie żyje, inaczej chyba bym go zabił - zdławionym głosem wydusił w końcu Skye.

Musi mu powiedzieć. Powinien znać prawdę. Jeśli okaże się dla niego nie do przyjęcia, to powinni oboje o tym wiedzieć.

Otarła oczy brzegiem kołdry. Zapaliła stojącą obok nocną lampkę. Ciepłe światło łagodnie rozjaśniło ciemność. Przyjęła to z ulgą. Czuła się zbrukana, winna, chciała skryć przed nim swoją twarz.

- Co ty...

- Skye, musimy porozmawiać.

- Dobrze, kochanie. Słucham.

- Kiedyś przeżyłam coś. Wydarzyło się wiele rzeczy. O niektórych z nich udało mi się zapomnieć - aż do dzisiaj. Ale niektóre pamiętam. Może powinnam ci o tym powiedzieć wcześniej... Ale nie chciałam o nich myśleć. A gdybym zaczęła ci opowiadać, to wszystko by odżyło.

- Hess zgwałcił cię, tak? - głucho stwierdził Skye.

- Nie - potrząsnęła głową. - To nie jest takie proste.

Zastanawiał się, co chciała przez to powiedzieć, kiedy Holly usiadła, opierając się o ścianę i kładąc sobie pod plecy poduszkę.

- Napastował mnie. W różny sposób. To ciągnęło się przez długi czas. Trwało znacznie dłużej, niż ktokolwiek przypuszczał. - Umilkła na chwilę, a jemu zdawało się, że to milczenie przeciąga się w nieskończoność. - Widzisz, Willy Hess był moim bratem.

Zamrugął gwałtownie powiekami. Był kompletnie zaskoczony. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz coś aż tak go zaszokowało.

- Twoim bratem? Co ty... Byłem pewien, że był zbiegłym więźniem, który cię porwał.

- To też. Ale był moim bratem. W gruncie rzeczy nie bratem, synem mojego ojczyma z poprzedniego małżeństwa. Po śmierci taty moja mama wyszła za mąż i przenieśliśmy się do nich do Portland w stanie Waszyngton. Miałam wtedy dziewięć lat. Nie łączyły nas więzy krwi, ale przez następne kolejne lata wychowywaliśmy się razem.

- O mój Boże, Holly. Nie miałem pojęcia...

Objęła ramionami podkurczone nogi.

- Od początku mnie prześladował. Był dziwnym dzieckiem, ciągle mnie straszył. - Roześmiała się cicho.

- Pewnie mi nie uwierzysz, ale wtedy nie było mnie łatwo

zastraszyć. Niczego się nie bałam, byłam postrzelona i odważna. Kiedyś, jeszcze nim umarł mój tata, pojechaliśmy razem na wycieczkę do Nowego Jorku. Obejrzałam wtedy musical, w którym główną bohaterką była odważna dziewczynka. Postanowiłam być taka jak ona.

Mój ojczym też polował, tak jak dziadek. Nauczył nas strzelać, mnie i Willy'ego. Ale ja lubiłam strzelać tylko do rzutków. W wieku trzynastu lat już prawie byłam stanowym mistrzem w klasie juniorów.

Skye otworzył usta, ale nic nie powiedział. Znów go zaskoczyła. Nie dziwnego, że świetnie wiedziała, jak obchodzić się z bronią.

- Willy był człowiekiem, jakiego dzisiaj uznano by za psychopatę - ciągnęła Holly, zmuszając się do zachowania spokoju. - Z tego co na ten temat wiem, trudno jest znaleźć racjonalne powody, dlaczego niektórzy są właśnie tacy. Wcale nie muszą pochodzić z rozbitych rodzin, nie muszą mieć za sobą trudnego dzieciństwa czy jako dziecko przeżyć głębokiego wstrząsu lub utraty kogoś bliskiego. Pozornie są tacy jak inni, ale w środku mają coś przestawione.

Willy nie przejmował się uczuciami innych osób.

Nie chciał albo nie potrafił współczuć bliźnim, dzielić ich cierpienia czy bólu. Był skupiony tylko na sobie.

Przez to był niehumaniczny, brakowało mu czegoś najbardziej istotnego.

- Twoi rodzice musieli o tym wiedzieć - wtrącił się Skye. - Czy nie mogli trzymać go z daleka od ciebie?

Holly uśmiechnęła się gorzko.

- Tacy jak on potrafią być bardzo przebiegli.

Ojciec pobłażał mu, bo matka Willy'ego, tak jak mój ojciec, zginęła w wypadku. Rozwody są dzisiaj czymś normalnym, ale rzadko się zdarza, by dziecko było sierotą. Psycholodzy i opiekunowie społeczni nie wiedzą, jak je traktować. Nasze problemy brano na karb stresu po stracie rodzica.

Willy stale mnie prześladował. Wrzucał mi do dzinsów czerwone mrówki, wkładał węże do łóżka. Na początku krzyczałam, wpadałam w histerię, biegałam na skargę do rodziców. Willy zarzekał się, że kłamię, i wymyślał różne historie na własne usprawiedliwienie.

Zawsze wychodziło na to, iż nie mógł tego zrobić, że przesadzam albo oszukuję. Rodzice pewnie uważali, że oboje kłamiemy. Z tego wyciągnęłam naukę, iż świat jest pełen niebezpieczeństw i niesprawiedliwości i że nikt mi nie uwierzy. Willy zaś umocnił się w przekonaniu, że może robić wszystko, jeśli tylko potrafi się wykręcić.

Skye zaklął pod nosem.

- Kiedy podrośliśmy, jego złe skłonności jeszcze bardziej się nasiliły. - Holly westchnęła. - Uwielbiał łapać małe zwierzęta: myszy, ptaki, małe króliki, wiewiórki i torturować je. Na polowaniu specjalnie celował tak, by nie zabić, a tylko zranić ptaka w locie.

Był doskonałym strzelcem i wiedział, jak to robić, wypraktykował to. Biedne stworzenie spadało na ziemię, pies przynosił je jeszcze żywe, rozpaczliwie rozglądające się wokół. Nie dobijał nieszczęśnika natychmiast, jak powinno się w takim przypadku zrobić, ale stał i z uśmiechem patrzył, jak próbuje się wyrwać, a wreszcie, wyczerpane, powoli umiera.

Skye jęknął. Teraz rozumiał jej reakcję, kiedy rano wydało się jej, że ptak jest tylko ranny. „O Boże, umierają tak powoli, tak długo”.

- Holly, teraz już rozumiem, już wiem.

- To jeszcze nie wszystko.

- Powiedz mi.

Zamknęła oczy, jeszcze mocniej zacisnęła ręce.

- O tym starałam się zapomnieć. Wprawdzie coś majaczyło mi w pamięci, ale dopiero dzisiaj przypomniałam sobie dokładnie wszystkie szczegóły. To dziwne, ale tak się stało.

Wzięła głęboki oddech.

- Kiedy miałam piętnaście lat, moja mama umarła na raka. Ojczym był przyzwoitym człowiekiem i nie mógł pogodzić się z faktem, że z jego synem coś jest nie w porządku. Był biznesmenem, świetnie mu szło.

Niestety, dużo podróżował. Zostawałam sama z Willym. Był ode mnie o rok starszy i zaczynał być mężczyzną.

Oznajmił mi wprost, że chce się ze mną przespać, żeby przekonać się, jak to jest. Był taki dziwny i nieprzyjemny, że nikt go nie lubił i dziewczyny nie chciały się z nim spotykać. Znał tylko mnie. Nie byliśmy krewnymi, więc nie było problemu, tak mi powiedział.

- Co za skur...

- Poczekaj, nie przerywaj mi. To nie jest dla mnie łatwe - urwała na chwilę. - Byłam skromną, niewinną dziewczyną. Nie chodziłam z chłopakami, nie znałam życia. Willy był dla mnie bratem. Krótko mówiąc, jego propozycja przeraziła mnie.

Rozplakałam się, powiedziałam mu, że zwariował, że jest chory. Teraz wiem, że właśnie o to mu chodziło. Chciał mnie terroryzować.

Tak się zaczęło. Chodził za mną, łapał mnie nieoczekiwanie, całował i tak dalej. I za każdym razem, kiedy walczyłam z nim albo groziłam, że powiem wszystko ojcu, łapał jakieś zwierzątko, zabijał je powoli i przynosił do mnie.

- O Boże, Holly.

- Miałam psa, którego bardzo kochałam. Suczkę labradora. Nazywała się Dusty. Była trochę podobna do Barny'ego, miała tylko krótszą sierść. Dostałam ją od mamy niedługo przed jej śmiercią. Była dla mnie jedyną nicią, jaka mnie z nią łączyła. Willy dobrze wiedział, ile ona dla mnie znaczyła. - Zacisnęła palce tak mocno, że przez napiętą skórę widać było drobne kostki. - Oświadczył mi, że jeśli się z nim nie prześpię, zabije Dusty, ale najpierw będzie ją torturować. Opisał mi dokładnie, ze szczegółami, co ma zamiar jej zrobić.

Wiedziałam, że to uczyni. Ale wiedziałam też, że nawet jeśli mu ulegnę i zgodzę się z nim przespać, i tak prędzej czy później zabije mojego psa. Był coraz bardziej opętany i czerpał przyjemność z wyrządzania komuś krzywdy.

Skye pochylił się, ujął jej ręce w swoje dłonie.

Zacisnęła palce.

Szukał słów, by ją pocieszyć, ale wolał nic nie mówić, bo aż gotował się w środku. Całe szczęście, że Hess już był w grobie.

- W wyznaczony przez niego wieczór udawałam, że się zgadzam - zaczęła Holly. - Przygotowałam kolację.

Ojczyrna jak zwykle nie było. Na deser podałam szarlotkę i

lody. Zjadł wszystko i, zgodnie z moimi przewidywaniami, popił filiżanką mocnej kawy, w której rozpuściłam pięć tabletek nasennych, jakie moja mama brała, gdy nie mogła znieść bólów.

- Dobrze zrobiłaś. - Skye chciał uścisnąć ją, by dodać jej odwagi, ale bał się, że wytrąci ją z transu.

- Czekałam na efekt, bojąc się strasznie, że może tabletek było za mało. Kiedy w końcu usnął, zabrałam Dusty, wsiadłam do samochodu ojczyrna, chociaż nie za bardzo umiałam go prowadzić i nie miałam jeszcze prawa jazdy, i uciekłam. Jechałam całą noc i następny dzień, nie mając odwagi zatrzymać się po drodze.

Przyjechałam do dziadka, do Montany. Opowiedziałam mu całą historię i, na szczęście, uwierzył mi.

Wniósł sprawę do sądu. Trwało to wiele miesięcy, ale w końcu uzyskał prawo opieki nade mną, między innymi dlatego, że w tym czasie Willy'emu znudziły się zwierzęta i zaczął dręczyć ludzi. Skazano go za napastowanie pewnej dziewczyny w Portland.

Kolejne kilka lat spędził w więzieniach, zawsze skazywany za brutalne i sadystyczne napady. W końcu dostał dożywotni wyrok bez prawa warunkowego zwolnienia. Myślałam, iż zapomnę o wszystkim, że odzyskam spokój. I właściwie udało mi się. Przeniosłam się do Sedony. Poznałam kilku chłopaków, zainteresowałam się ziołami. Czułam się szczęśliwa i wreszcie bezpieczna.

- Dopóki Willy nie uciekł z więzienia.

- Tak. Odszukał mnie. Tę historię już znasz, przynajmniej niektóre jej szczegóły. Powiedziałam ci, że Willy mnie nie zgwałcił, i tak było. Ale związał mnie i przeraził na śmierć, opowiadając mi

dokładnie, co zamierza ze mną zrobić. Nie mogłam w to nie wierzyć.

Potrafił przekonać.

Skye zaklął cicho.

- Miał obsesję na moim punkcie. Wszystkie kobiety, które atakował, były do mnie podobne - takie same długie ciemne włosy, szczupła figura. Według niego, ja byłam powodem wszystkich jego problemów, bo byłam pierwszą dziewczyną, która go odrzuciła. Teraz chciał wziąć na mnie rewanż. Chciał wyegzekwować to, czego mu odmówiłam, kiedy oboje byliśmy dziećmi. - Zadrżała. - Zaczął przechodzić do czynu, kiedy do środka wdarła się policja. Wiedział, że nie ma szans.

Zastrzelił się. Jak na ironię, w stosunku do siebie okazał się litościwy - przystawił rewolwer do skroni i zginął na miejscu. Na chwilę umilkła, po czym dodała: - Niech mi Bóg wybaczy, ale ucieszyłam się.

Aż do tej chwili Skye panował nad sobą. Teraz przyciągnął Holly do siebie i z czułością pogładził po włosach. Ciągle drżąc na całym ciele, próbowała odzyskać kontrolę nad sobą. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, rozluźniła się i przywarła do męża.

Nie zdążył otrząsnąć się z zaskoczenia, kiedy poczuł na sobie jej ciężar. Szukała jego ust, całowała go namiętnie, szaleńczo. Mocno, niecierpliwie targała jego włosy.

- Chcę ciebie - wyszeptała. - Kochaj mnie.

Bardzo chętnie, pomyślał, oddając jej pocałunki.

Już była tak daleko od niego. Zaczynał bać się, że już nigdy nie pozwoli się dotknąć, nie zechce go.

- Spraw, żebym zapomniała - wyszeptała tuż przy jego ustach.

Nie wiedział, czy zdoła spełnić jej życzenie. Nikt nie jest w stanie wymazać przeszłości z czyjejś pamięci.

Oboje zatracili się w pieszczotach. Ze zdumieniem stwierdził, że tym razem Holly nie potrzebuje czasu, że jest tak niecierpliwa jak on.

- Kochaj mnie - prosiła, tuląc się do niego. - Potrzebuję ciebie, Skye.

- Powoli, kochanie, mamy czas. Nie musimy się spieszyć.

- Nie, już teraz - pieściła go jak nigdy dotąd - proszę, teraz.

Usłuchał jej. Krzyknęła cicho, ale dalej przyciągała go do siebie, pospieszała go.

Chce o wszystkim zapomnieć, uświadomił sobie Skye. Posługując się nim. Poczul się dziwnie nieswojo.

Pragnął jej i kochał ją, z każdą chwilą był bliżej ostatecznego spełnienia, ale w sercu czuł gorycz. Nie tego pragnął.

Chciał usłyszeć od niej, że go kocha. Słowa wypowiedziane z głębi duszy. Dlaczego milczy? To niesamowite. Nigdy przedtem tego nie pragnął żadnych wyznań.

Dobrze wiedział, że teraz nie myślała o miłości. Jego ciało miało być tylko środkiem. Chciała się nim posłużyć, by na zawsze odegnąć od siebie mroczną przeszłość.

Zgoda, jeśli to ma pomóc...

Ale nie minęła jeszcze chwila, kiedy zrozumiał, że to daremne. Tracił ją. Czul to całym sobą. Już nie była z nim.

Jęknął, wiedząc, że jeszcze mgnienie, a Holly opadnie bezwładnie albo wybuchnie płaczem. Chciał się wycofać, ale objęła go z całej siły, przyciągnęła jeszcze mocniej, ponowiła pieszczoty.

Szepta cicho jej imię, zapomniał o wszystkim.

- Przepraszam - powiedział, kiedy znów odzyskał głos. - Nie powinienem...

- Cicho, było dobrze.

- Holly...

- Nic mi nie jest, Skye. Nie przejmuj się mną, proszę.

Ale w jej oczach zobaczył coś, co przeraziło go do głębi: cierpienie, oddalenie i rozpacz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Dostałam list od Moiry - oświadczyła któregoś pochmurnego listopadowego ranka Holly. Właśnie kończyli śniadanie. - Zaprasza mnie na kilka tygodni do siebie, do Salt Lake City. Wprawdzie tam też jest zima, ale znacznie łagodniejsza niż w Montanie. Łąki są tam o tej porze zielone. Myślę nad tym, by odpisać, że chętnie skorzystam z jej propozycji.

Skye podniósł oczy znad filiżanki kawy, w której dno wpatrywał się intensywnie. Słowa Holly były dla niego szokiem, choć w jakimś sensie nie zaskoczyły go, właściwie niemal spodziewał się czegoś takiego. Czuł, że wymykała mu się, dzień po dniu, noc po nocy. Byli coraz bardziej sobie obcy.

- Nie możesz tego zrobić. Warunkiem testamentu było mieszkanie pod jednym dachem przez sześć miesięcy. Zostały jeszcze trzy.

- Według mnie to teraz już nie ma takiego znaczenia. Pobraliśmy się. Wszyscy w miasteczku dobrze wiedzą, że mieszkamy razem - zaprotestowała Holly, nerwowo bawiąc się widelcem. - To

powinno wystarczyć. Przecież mam prawo do wakacji. Wróć, nim upłynie te wymagane pół roku, będę grać swoją rolę, a w marcu podzielimy majątek i wystąpimy o rozwód.

- Do diabła, Holly! Czy była mowa o rozwodzie?

- Tak - odrzekła z udawanym spokojem. - Chyba pamiętasz. Przecież to nie miał być jakiś stały układ.

Pobraliśmy się, bo taki był warunek dziadka.

- Zgoda, ale sami wtedy nie wiedzieliśmy, jak to się skończy. Oboje postanowiliśmy poczekać na rozwój wydarzeń.

- No tak... - Nerwowo skubała pasmo czarnych włosów. - Ale nic z tego nie wynikło.

Jeśli nawet tak jest, pomyślał, to dlatego, że ty tego nie chcesz.

Zupełnie nieoczekiwanie wszystko między nimi się zmieniło. Ich związek, który przez pierwszych kilka tygodni z każdym dniem się pogłębiał i dla obojga był źródłem radości i spełnienia, teraz stał się jedynie żalonym wspomnieniem minionego szczęścia. Coraz bardziej oddalali się od siebie. Z pary kochanków, którzy powoli zatracili poczucie własnej autonomii, znów stali się dwojgiem świadomych swojej odrębności ludzi, kobietą i mężczyzną, myśliwym i ogrodniczką, zabójcą i uzdrowicielką.

Najgorsze było to, że nie potrafił znaleźć przyczyn tej przemiany.

Holly nie była w stanie oderwać się od prześladowających ją wspomnień, przeszłość ciągle żyła w jej podświadomości. Skye starał się pomóc jej przewyciężyć te lęki, ukoić jej nerwy, sprawić, by uwierzyła w jego miłość i poczuła się bezpieczna. Niestety, jego

wysiłki spełzły na niczym i miał wrażenie, że dręczące Holly demony ożyły.

Przypomniały mu się jej obawy, że jej przeszłość może zatruć smutkiem jego życie, ogarnąć i jego. Nie chciała tego, ale te słowa okazały się prorocze. Mimo rozpaczliwych prób Holly, by zatracić się w miłości, wymazać z pamięci wspomnienia, nawet miłosne noce nie przełamały dzielącego ich oddalenia. Po kilku dniach zaczęła wyraźnie go unikać, kładła się wcześniej albo przesiadywała do późnej nocy na dole i szła do łóżka dopiero wtedy, gdy była pewna, że jej mąż zasnął. Starannie uważała, by leżeć spokojnie i przeproszała, jeśli niechcący go potrąciła. Jeśli próbował wziąć ją w ramiona, sztywniała w jego uścisku i odsuwała się pospiesznie.

- Przepraszam - powtarzała bez końca. - To nie twoja wina. To wszystko przeze mnie, Skye. Przeze mnie.

Przełknął resztkę kawy. Mignął mu jej obraz, leżącej na plecach, wyczerpanej po miłosnych igraszkach, z rozrzuconymi włosami i połyskującą kropelkami potu skórą. Co się z nią stało? Spłoszyłem ją.

Cholera, to moja wina.

Kiedy był w kiepskim nastroju, bez trudu wyszukiwał powody, by się obwiniać. Zresztą to on był znany z tego, że w przeszłości skutecznie potrafił unikać poważnych związków. Zawsze miał na to sposoby, niektóre uświadamiał sobie dopiero po fakcie, kiedy spoglądał na zamkniętą sprawę z pewnej perspektywy. Nieraz spotykał się z zarzutem, że dąży do zakończenia trwającego już związku, co zaskakiwało go, bo zwykle nie zdawał sobie z tego sprawy.

A może podświadomie o to mi właśnie chodzi, zapytywał się w duchu. Może i tym razem tego chcę.

Może poczuję się szczęśliwy, kiedy Holly zniknie z mojego życia?

Ich stosunki rozwijały się znakomicie aż do chwili, kiedy zabrał ją na polowanie. Może nawet były zbyt idealne. Teraz nie było śladu wcześniejszej harmonii.

Czy to możliwe, że z momentem nawiązania ścisłej więzi z kobietą budzi się w nim przewrotna potrzeba zniszczenia tej bliskości?

Nie mogła pogodzić się z tym, że zabijał zwierzęta.

Dlatego go odrzuciła. Właściwie w głębi duszy spodziewał się tego. Przecież nie kryła swojego wstrętu do myśliwych, a on mimo to uparł się, by zobaczyła go w tej roli.

Sam jest sobie winien, że teraz Holly nie może na niego patrzeć.

Najgorsze jednak było to, że może od niego odejść.

Kocham ją, do diabła. Nie chcę, by odeszła.

- Holly? Czy to ma znaczyć, że naprawdę nie chcesz spróbować? Chcesz się poddać?

Przyjęła jego słowa nieznacznym wzruszeniem ramion.

- Muszę wyjechać - powiedziała cicho. - Może jeśli przez jakiś czas pobędę sama... Muszę wszystko przemyśleć, zastanowić się... - dokończyła łamiącym się głosem.

Powstrzymał odruch, by pochylić się ku niej, wziąć w ramiona i przytulić do siebie. Zbyt wiele ich dzieliło.

Jej odejście powinno przynieść mu ulgę, złagodzić to męczące napięcie, kiedy z trudem panował nad przemożną pokusą, by przyciągnąć ją do siebie, wziąć na ręce i zanieść do łóżka.

- Nie chodzi tylko o polowanie, prawda? To jest też sprawa seksu, tak?

Holly zagryzła wargi, zerknęła na niego i odwróciła wzrok.

- Nie byłaś... Nie czułaś się...

- To nie tak - przerwała mu, potrząsając stanowczo głową. - Ciągle ci powtarzam, że to nie twoja wina.

Było mi z tobą cudownie, Skye, to było piękne, niezwykłe przeżycie. Jeszcze więcej. To był dla mnie prawdziwy cud.

- Aż do tej pory - skwitował sucho Skye.

- Aż do chwili, kiedy przypomniałam sobie o Willym. Czuję się... nawet nie potrafię tego nazwać. Jak sparaliżowana.

- Mogłabyś porozmawiać z kimś, kto zajmuje się takimi problemami. Są przecież fachowcy od tych spraw. Przynajmniej spróbuj coś zrobić, co pomoże ci znów inaczej spojrzeć na siebie i życie, odzyskać równowagę. Ale zrób to tutaj, w Montanie, i ze mną.

Nie musimy spać razem, jeśli nie chcesz. Nie będę nalegać. Ale boję się, że jeśli uciekniesz, zostawisz mnie, to już nigdy tu nie powrócisz.

- Skye, jesteś dla mnie taki dobry. Zawsze byłeś.

Ale nie rozumiesz tego. - W jej oczach zalśniły łzy.

Holly zamrugła powiekami. - Ciężko mi być z to-bą. - Co chcesz przez to powiedzieć? Dlaczego?

- Nie powinnam była iść z tobą na to polowanie.

- Słuchaj, nie można zmienić tego, co już się stało.

Zresztą wcześniej czy później i tak musiałabyś spróbować pogodzić się z moją naturą.

- Gdybyś nie był do niego taki podobny - wyszeptała ledwie słyszalnie.

- Co takiego?

Zagryzła dolną wargę.

- Nic.

- Wyglądam jak Willy Hess?

- Trochę - przyznała. - Jesteś wysoki, ciemnowłosy, jest coś podobnego w układzie ust, zarysie szczęki...

- Do cholery, Holly! Potrafię zrozumieć, że trudno ci się rozluźnić i zaufać mi czy jakiemuś innemu mężczyźnie. To nawet naturalne. Ale nie mogę pojąć, dlaczego widzisz we mnie podobieństwo do tego zbrojnego. To doprowadza mnie do szału!

- To nie jest zależne ode mnie. - Holly bezradnie rozłożyła ręce.

- To jest we mnie, w środku. Jesteś podobny do niego, reprezentujesz prawo, które nie obroniło mnie przed nim... - mówiła coraz ciszej - i tak jak on, chcesz ode mnie seksu.

- Jestem twoim mężem - odrzekł dobitnie Skye - a nie jakimś zboczonym szaleńcem. Chcę dać ci radość, ale nigdy nie mógłbym cię skrzywdzić. Chyba wiesz o tym.

- Wiem, oczywiście. Ale jesteś myśliwym, krzywdzisz i zabijasz bezbronne stworzenia. Po tym, co zobaczyłam, nie potrafię się przemóc. Wydawało mi się, że jakoś się z tym pogodzę, że uda mi się to zrozumieć, ale jednak nie. Nie umiem. Wybacz mi, ale nie potrafię. To dla mnie jest niemożliwe.

Skye gwałtownie podniósł się z krzesła, odsuwając je z takim

impetem, że niemal je przewrócił. Szybкими krokami przemierzył kuchnię, znów podszedł do niej.

- Więc co zrobimy, Holly? Jakie mamy wyjście?

Czy chodzi ci o to, żebym się zmienił? Nie potrafię wyrzec się polowań, to jest coś, co robię przez całe życie. Również jako stróż prawa, kiedy mam do czynienia z przestępcami. To jest część mojej istoty, sposób na życie. Tropienie, polowanie... Czy nie rozumiesz tego? Taki już jestem.

- Owszem, rozumiem. Oczywiście nie chcę cię namawiać, żebyś się zmienił. Jesteś jaki jesteś i godzę się z tym. Ale ja też jestem taka, jaka jestem. Może po prostu nie pasujemy do siebie.

- Do diabła! To jasne, że świetnie do siebie pasujemy! Przez tyle czasu mieszkamy razem i nie doszło do żadnych zadrażeń czy nieporozumień. Jedynie to polowanie stało się przyczyną tego, że mnie unikasz.

Jesteś pierwszą kobietą, z którą wytrzymałem tak długo i która mnie nie zanudziła.

Zatrzymał się za nią, położył dłoń na jej ramieniu.

Odwróciła się od niego, ale ujął jej głowę i zmusił, by popatrzyła mu prosto w oczy.

- Holly, kocham cię. Spróbujmy jeszcze raz.

- Ty też mnie obchodzisz, Skye - odrzekła drżącym głosem Holly. - Bardzo.

Obchodzisz mnie. Ale nie powiedziała: „Kocham cię”.

- Jednak nie potrafię być z tobą. Nie mamy wyjścia, musimy pogodzić się z tym, że nic z naszego małżeństwa nie będzie. Powinniśmy być ze sobą szczerzy. Nadszedł czas, by się rozstać.

- Do diabła! - Skye uderzył w stół, aż zabrzęczały talerze. - Nie mam zamiaru się z tym pogodzić. Nie ma żadnego końca.

- Mój brat, Willy, też nie chciał... - wyszeptwała.

Skye poblądł gwałtownie.

- Bez względu na to, co powiem, za każdym razem widzisz go we mnie. To jest obłąd, Holly. To cię zabija.

Jeśli nie spojrzysz na to w inny sposób, to zmarnujesz sobie całe życie. Będziesz szukać Willy'ego w każdym napotkanym mężczyźnie. Być może następny facet nie będzie myśliwym, ale będzie mieć jakieś inne cechy, które skojarzą ci się z twoim bratem i przez to nie będziesz mogła go kochać czy być z nim. I ten scenariusz będzie powtarzać się w nieskończoność. Za każdym razem, kiedy zaczniesz się czuć szczęśliwa, z mroku wynurzy się duch Willy'ego i nie opuści cię jego szyderczy śmiech. I to on zawsze będzie górą, prawda? - Mocniej zacisnął palce na jej ramionach.

- Tak, do cholery, będzie, prawda?

- Odejdź ode mnie!

- Kocham cię, Holly. Do diabła, patrz na mnie, kiedy ci to mówię. Kocham cię.

Płacząc, wyrwała się z jego uścisku.

- Przepraszam - tylko to udało się jej wykrztusić.

Odepchnął ją od siebie. Sam miał łzy w oczach.

Poruszając się nieprzytomnie, poszedł do siebie, wziął strzelbę i wrzucił do kieszeni kilka naboju. Chwyając po drodze kurtkę i kamizelkę, ruszył do wyjścia, wołając psa.

- Skye... - zawołała za nim Holly słabym głosem.

- Rób sobie, co chcesz - powiedział do niej. - Nie mam zamiaru tu dłużej siedzieć i próbować ci raz jeszcze wszystko tłumaczyć. Są granice wytrzymałości.

Nie mam już sił.

- Skye, jesteś taki zdesperowany. Ty chyba nie... chyba nie chcesz...

- Nie, nie mam zamiaru zrobić sobie krzywdy, jeśli o to ci chodzi - odpalił. - Zamiast tego zamorduję parę ptaków.

- Skye, proszę cię, nie zostawiaj mnie tak.

- To nie jest tak, Holly. To ty mnie zostawiasz.

Właśnie ty chcesz uciec od swoich problemów, jakby to był sposób na ich rozwiązanie.

Z depczącym mu po piętach psem podszedł do wyjściowych drzwi. Na moment zatrzymał się na progu i spojrzał na żonę.

- Gdzie się podziała ta nieustraszona, namiętna i żywiołowa boginka, która, tańcząc, zawojowała moje serce? Co się z nią stało, Holly? To chciałbym wiedzieć.

Po tych słowach trzasnął drzwiami.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po jego wyjściu Holly prawie godzinę przesiedziała nieruchomo przy kuchennym stole. Skye miał rację. To przeświadczenie nie dawało jej spokoju. Jego diagnoza była absolutnie słuszna, a wybuch całkowicie usprawiedliwiony.

Serce się jej ścisnęło na wspomnienie pogłębiającej się z każdą chwilą rozpaczki malującej się w jego oczach. Aż do tej pory zupełnie nie zdawał sobie sprawy z przepaści, jaka ich dzieliła. Z pewnością

nie uświadamiał sobie powodów jej rozterek i lęków. Jak większość mężczyzn, wyobrażał sobie, że potrafi je przewyciężyć, że osłoni ją przed nimi, odepchnie prześladowające ją wspomnienia, otworzy przed nią nowe życie.

O Boże! Gdyby tylko mógł tego dokonać!

Tylko ona sama mogła to zrobić. I musi spróbować.

Podniosła się i ruszyła na górę, do ich wspólnej sypialni. Zapakuje kilka niezbędnych rzeczy i wyniesie się stąd przed powrotem Skye'a. Nie pojedzie do Moiry. Skye miał rację, twierdząc, że byłaby to ucieczka. Zatrzyma się w motelu. W samotności spróbuje przemyśleć to, co ją dręczy, znaleźć odpowiedź na pytanie, jakie rzucił jej na odchodne.

Zdjęła z górnej półki walizkę, położyła ją na łóżku, ale sama myśl o pakowaniu odebrała jej siły. Odsunęła ją i wyciągnęła się obok. To tutaj cieszyliśmy się sobą, przebiegło jej przez myśl. Zdawało się, że w powietrzu jeszcze unosily się ich radosne szepty, dźwięczał śmiech... Stał jej przed oczami wieczór, kiedy po niewinnie rozpoczętej gonitwie na parterze dopiero z pomocą psa odnalazł ją ukrytą na górze w nie używanym pokoju, wziął na ręce i zaniósł do ich sypialni, i kochał ją szaleńczo, niemal brutalnie.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ani przez moment nie czuła przed nim lęku, nie widziała w nim Willy'ego. W nagłym przebłysku zrozumiała, że pod świadomie mu ufała.

A skoro tak, to może nie wszystko jeszcze stracone?

Wstała, targana wątpliwościami. Sama nie wiedziała, co powinna zrobić. Za oknem tańczyły białe płatki.

Śnieg. W południowej Arizonie, gdzie spędziła ostatnie lata, był

to rzadki widok. Zresztą nawet tutaj, gdzie bywały ostre zimy, zwykle niewiele śniegu padało o tej porze roku. Sypało coraz mocniej, zapowiadała się zamieć. Czy to oznacza, że Skye wkrótce wróci? Chyba nie będzie polować w taką pogodę?

Wracaj do domu, Skye, myślała zrozpaczona. Wracaj i nie pozwól mi odejść. Tak naprawdę to chyba wcale nie chcę cię opuścić, kochanie.

Wędrując po lesie i przedzierając się przez zarośla z bronią gotową do strzału, Skye nie przejął się pierwszymi płatkami śniegu. Zwykle, jak każdy myśliwy, zwracał baczność uwagę na pogodę, co było konieczne zwłaszcza tutaj, w Montanie, gdzie temperatura potrafiła obniżać się gwałtownie w ciągu paru minut, ale dzisiaj nie miał do tego głowy. Polował już od godziny, ale choć Barny wypłoszył kilka ptaków, Skye'owi nie udało się żadnego ustrzelić. Ostatnio nie mam szczęścia, pomyślał z niechęcią. Robiło się coraz chłodniej, wiatr wzmagął się. Po upływie paru godzin ubranie było wilgotne, a broń ciążyła nieznośnie. Po ptakach nie było ani śladu, najwyraźniej schroniły się przed zamiecią. Odeszła mu ochota na polowanie, mimowolnie przypomniał sobie słowa starej ludowej piosenki, że w zimny deszczowy dzień najlepiej jest w łóżku ze swoją ukochaną.

Tknięty nową myślą zagwizdał na buszującego przed nim psa. Barny przybiegł do niego, radośnie machając ogonem.

- Dobry piesek - pochwalił go Skye. - Chyba nie mamy dziś szczęścia, co? Chodź, wracamy do domu, pogoda robi się coraz gorsza. Nie ma na co czekać.

Kiedy zawrócił, Barny popatrzył na niego z rozczarowaną miną, ale po chwili znów biegł przed nim, uważnie węsząc, zbiegając ze

ścieżki, znów obwąchując mijane zarośla. Zniknął mu z oczu, kiedy nagle rozległ się jakiś metaliczny dźwięk, a zaraz potem rozpaczliwy skowyt. Skye przeraził się, od razu przeczuwając, co się stało. Barny z pewnością wpadł we wnyki, zastawiane przez kłusowników.

Jego przypuszczenia się potwierdziły. Biedne zwierzę jęcząc próbowało uwolnić z metalowych obręczy krwawiącą łapę.

Wezbrała w nim złość. Czasami zastawiano wnyki na kojoty czy inne drapieżniki, ale było to zabronione.

Opanował się, przykląkł przy psie i przemawiając do niego uspokajająco, obejrzał uwięzioną łapę.

- Już dobrze piesku, tak, wiem, ale muszę zobaczyć.

No, pozwól obejrzeć łapkę, już dobrze. Do diabła!

Poczekaj, zaraz cię uwolnię, Barny. Teraz wstań.

Pies ufnie patrzył na niego zbolalymi oczami. Kiedy Skye odciągnął ściskając łapę żelazne szczęki, spróbował wstać. Zawył z bólu. Skye zatrzasnął wnyki, odrzucił je ze złością od siebie. Pochylił się i wziął psa na ręce.

- Już dobrze, piesku - przemówił do niego łagodnie. - Połóż się, zobaczymy, co ci jest.

Głęboka, poszarpana rana wyglądała fatalnie.

Krwawienie nie słabło. W dodatku pies drżał z zimna, co jeszcze pogłębiało szok. Nie było mowy, by mógł iść o własnych siłach.

Muszę go nieść, zdecydował Skye, choć nie był pewien, jak sobie poradzi, bo przez ostatnie miesiące Barny zmęźniał i ważył pewnie ze trzydzieści kilo.

Dopiero teraz się zaniepokoił. Nie wiedział, jak daleko są od

samochoodu. Polowanie było dzisiaj tylko pretekstem, właściwie chciał przede wszystkim oderwać się od problemów, które go przerastały. Zaprzątnięty swoimi myślami, zapomniał o pogodzie, o tym, gdzie się znajduje. Teraz zamieć rozszalała się na dobre, miotany podmuchami wiatru śnieg ograniczał widoczność. Skye nawet nie wysłuchał prognozy pogody przed wyjściem z domu. Chyba jeszcze nigdy nie był tak nieostrożny.

- Zawalilem sprawę, Barny - przyznał Skye, próbując zatamować krew ciągle płynącą z łapy zwierzęcia. - Ale nie martw się. Wyciągnę cię z tego.

Jasne, pomyślał ponuro. Tylko jak?

Holly z niepokojem obserwowała sypiący śnieg.

Skye już dawno powinien być w domu. Śnieg padał od kilku godzin. Dlaczego jeszcze nie wrócił? Chociaż, biorąc pod uwagę jego nastrój, trudno było przewidzieć, co mu strzeli do głowy.

Usiłowała przypomnieć sobie, jak był ubrany. Czy nie przemókł, nie przemarzł? Czy wziął ze sobą coś do jedzenia? Zamieć przybierała na sile. A jeśli Skye się zgubił?

Przestań, zgañiła się w duchu. Przecież jest dorosły i doświadczony, wie, co robić. Pewnie siedzi teraz w jakimś przytulnym barze i topi smutki w szklaneczce whisky.

Mimo to nie mogła się uspokoić. Nerwowo ogryza ła paznokcie.

Kiedy do zapadnięcia zmroku zostało już tylko kilka godzin, całkiem opadła z sił. Lęk o męża usunął w cień jej własne problemy. Wyobraźnia podsuwała jej przerażające obrazy.

Starala się opanować, ale jej wysiłki spelzały na niczym. Po chwili znów zadrczały ją koszmarne wizje.

Poszła do swojej szklarni, by wśród roślin odnaleźć spokój. Dotykała liści, zastanawiając się, kto zajmie się nimi po jej odejściu.

Odszukaj go, nakazywała sobie w duchu. Jesteś mu potrzebna. Musisz iść i odszukać go.

On wcale mnie nie potrzebuje, jest samowystarczalny. Poza tym przecież nie mam pojęcia, gdzie on może być. Tereny polowań ciągną się całymi kilometrami.

Idź i szukaj go, wewnętrzny głos nie dawał jej spokoju.

Wreszcie podjęła decyzję. Chyba rzeczywiście coś Skye'owi się stało. Ale gdzie go szukać?

Naraz olśniło ją. Musi odnaleźć dzipa. Wtedy będzie wiadomo, w jakim rejonie Skye polował. Poza tym dzip był wyposażony w policyjne radio. Może dzięki temu policji uda się zlokalizować samochód.

Rzuciła się do telefonu, ale kiedy podniosła słuchawkę, odpowiedziała jej głucha cisza. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na zewnątrz - na zerwanym przewodzie telefonicznym wisiała złamana gałąź dębu.

Trudno, musi działać sama. W okolicy było kilka dróg. Nie da rady sprawdzić wszystkich, ponieważ wkrótce się ściemni.

Weszła do pokoju Skye'a i uważnie obejrzała pozostałą broń. Przypomniała sobie Willy'ego i przez moment poczuła się dziwnie. Na litość boską, weź się w garść, przywołała się do porządku.

Brakowało strzelby o wąskiej lufie, kaliber 20.

Przypomniała sobie, jak Skye objaśniał jej, że służy do polowania na mniejsze ptaki. Takie jak cieciorniki.

Mówił jej wtedy, że szuka się ich w nierównym terenie, w

lasach i zaroślach. Było tylko kilka możliwości, jeśli, co nie było absolutnie pewne, polował w granicach ich posiadłości. W każdym razie tam powinna go szukać.

Śnieg nie przestawał padać. Wyprowadziła przed dom swoją camry. Żałowała, że nie ma dżipa. W Arizonie rzadko zdarzało się jej jeździć po zaśnieżonych drogach i nie czuła się wówczas pewnie.

Całe szczęście, że samochód ma przedni napęd.

Lepkimi ze zdenerwowania dłońmi ścisnęła kierownicę. Skye jest w niebezpieczeństwie, a czas ucieka.

Był wyczerpany, mokry od potu. Potknął się o coś i upadł na kolana. Resztką sił przytrzymał w ramionach Barny'ego. Pies zaskomlał przeraźliwie. Serce mu się ścisnęło, ale ucieszył się, że zwierzak nadal jest przytomny.

Przemawiając do niego łagodnie, ułożył go na ziemi.

Barny nie przestawał lizać zranionej łapy, która ciągle puchła.

Skye wyprostował się i rozejrzał wokół, starając się określić położenie. Daremnie. Padający śnieg ograniczał widoczność, pokryte bielą drzewa i zarośla wszędzie wyglądały tak samo. Mógł tylko przypuszczać, sądząc po czasie, jaki minął od rozpoczęcia powrotu, że przebyli połowę odległości dzielącej ich od dżipa.

Oczywiście zakładając, że poruszali się we właściwym kierunku, co nie było takie pewne. Ścieżka zniknęła pod śniegiem, więc szli na oślep.

Był zupełnie wyczerpany, ramiona i plecy bolały go od wysiłku i ciężaru psa, nogi miał jak z ołowiu.

Wprawdzie rozgrzał się w czasie marszu, ale teraz, zaledwie po

chwili stania na wietrze, przemarzył do szpiku kości. Całe szczęście, że wiatr wiał mu w plecy, inaczej nie doszedłby nawet tutaj.

Barny zostawił łapę w spokoju, zwinął się w kłębek.

Cały drżał. Skye odsunął przemoknięty rękaw, zerknął na zegarek. Jeszcze niecała godzina i zrobi się ciemno.

Mieli niewiele czasu, jeśli chcieli się stąd wydostać, nim pogoda jeszcze się pogorszy.

- Pora na nasz plan numer dwa, Barny - powiedział głośno Skye, a pies uniósł łeb, wsłuchując się w słowa pana. To był dobry znak. - Musimy znaleźć sobie schronienie. Widziałeś tu jakieś jaskinie? Albo jakiś pochyłony głąz, pod którym moglibyśmy przycupnąć? Poszukamy czegoś i zrobimy sobie przytulną kryjówkę. Zostań tutaj, a ja pójdę się rozejrzeć.

Barny zawył rozpaczliwie na widok oddalającego się pana. Nie przestawał piszczeć mimo uspokajających zapewnień Skye'a.

- Barny, nie zostawię cię, piesku. Nie ma mowy.

Nie, piesku, zostań tu. Dobry piesek. Zwykle ty szukasz, teraz pora na mnie. Popatrz. Będę zataczać kręgi wokół ciebie. Poszukam dla nas schronienia przed wiatrem. No już dobrze, Barny, już spokój. Chcę ci uratować życie.

Rozpaczliwe skomlenie przeszło w ciche, pełne bólu jęki. To moja wina, jak zwykle moja wina, zadreślał się Skye. Taki doświadczony myśliwy, a tak głupio dał się złapać. Ten sprytny Rawlins, zawsze taki zmyślny.

- Powinienem zamarznąć tutaj - zawołał w stronę psa. - Zasłużyłem sobie na to. Ale ty nie, więc nie przejmuj się. Wyciągnę nas z tego, nie martw się. Ja będę się martwić za nas dwóch, dodał w

duchu.

Holly nie wierzyła własnemu szczęściu. Już po kwadransie poszukiwań znalazła dżipa. Stał na poboczu drogi. Kiedyś Skye wspomniał, że to tutaj najczęściej poluje na cieciorniki.

Nigdzie nie było żadnych śladów. Wszystko zniknęło pod śniegiem.

Na dachu dżipa leżało jakieś piętnaście centymetrów śniegu. Holly weszła do środka, włączyła stacyjkę, nacisnęła klakson. Jej radość z odnalezienia samochodu minęła. Dlaczego Skye nie wrócił do dżipa?

Czyżby się zgubił? Czy był ranny? Może zdarzył się jakiś wypadek? Szybko odsunęła od siebie te myśli.

Pospiesznie włączyła policyjne radio, wzięła do ręki mikrofon. Po kilku próbach udało się jej połączyć z jednym z zastępców szeryfa i dokładnie naświetlić sytuację.

Już kiedyś miała okazję poznać tego człowieka i z tego, co mówił o nim Skye, wiedziała, że nie miał szczególnych predyspozycji do tej pracy. Teraz też zbył ją, mówiąc, że dwa radiowozy i ambulans pojechały do wypadku na autostradzie i dopiero mniej więcej za godzinę będzie mieć kogoś do dyspozycji.

- Ale do tej pory zrobi się ciemno! - zawołała Holly. - A Skye zgubił się w lesie.

- Jest pani tego pewna? - droczył się z nią policjant, traktując ją jak rozhisteryzowaną żonę. - Odkąd znam Skye'a, nigdy coś takiego mu się nie przydarzyło.

Zwykle jeśli mąż nie wraca do domu na czas, to siedzi sobie w jakimś barze i...

- Posłuchaj, ty bałwanie! Twój szef potrzebuje pomocy i jeśli nie otrzyma jej w porę, to stracisz pracę.

Rozumiesz?

- Wyślę kogoś, jak tylko będę mógł, ale jeszcze raz pani powtarzam, że teraz nikogo nie mam.

- Więc znajdź kogoś! - wykrzyknęła, rzucając słuchawkę.

Wyskoczyła z dżipa, osłoniła oczy przed śniegiem i wbiła wzrok w zarośla. Wiatr od lasu niemal urywał jej głowę. Drzewa wyglądały jak zjawy, a wszystkie ścieżki przykrył śnieg.

I co teraz? zastanowiła się. Las ciągnie się przez wiele kilometrów. Skye był tutaj, ale na razie nawet nie ma co liczyć na pomoc policji. Musi odnaleźć go sama.

Gwałtowny poryw wiatru niemal zbił ją z nóg.

Wydało się jej, że razem z nim dobiegł ją daleki odgłos bolesnego skowytu. Barny? Czyżby był ranny? Czy to dlatego nie dotarli do samochodu?

Przekonywała samą siebie, że to tylko złudzenie, że z takiej odległości nie mogłaby niczego usłyszeć, ale po chwili dźwięk się powtórzył. Teraz już była pewna. To był Barny i coś musiało mu się stać.

Pospiesznie przeszukała samochód. Zabrała leżący z tyłu koc, starą wiatrówkę i przybrudzone skórzane rękawiczki, latarkę, zestaw pierwszej pomocy i torebkę rodzynek.

Po drodze wzięła jeszcze koc ze swojego samochodu. Pożałowała, że nie zabrała z domu jeszcze innych rzeczy. Dobrze, że ma ze sobą kilka niezbędnych ziołowych nalewek.

Rozłożyła wszystko na kocu, dodała jeszcze swoją torebkę,

zawiązała węzeł i zarzuciła tobolek na plecy.

Ugięła się pod ciężarem, ułożyła bagaż nieco wygodniej. Miała nadzieję, że nie będzie z tym iść daleko.

Wiatr znów przyniósł daleki skowyt. Nie miała pojęcia, na jaką odległość mógł nieść się głos. Zresztą nie była pewna, czy idzie we właściwym kierunku.

Musi zawierzyć swojemu instynktowi i ufać, że nie popełni błędu. Jeśli się pomyli, to drogo za to zapłacą wszyscy troje.

„Co się stało z tą namiętą i nieustraszoną boginką, która tańcząc odnalazła drogę do mojego serca?” przypomniała sobie pytanie Skye’a.

Jest tutaj, Skye. Nadchodzi.

Naciągnęła kaptur na twarz i ruszyła przed siebie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Skye znalazł leżące, wyrwane z ziemi drzewo, którego szerokie, rozłożyste korzenie, przechylone nieco na bok, ofiarowały skromne schronienie przed wiatrem. Obejrzał uważnie spory wykrot, wymościł go kilkoma sosnowymi gałęziami i suchymi liśćmi.

- No, Barny, może nie jest to dużo, ale zawsze coś - powiedział zadowolony, kiedy już ułożył psa na miękkim posłaniu. - Odpocznij tu sobie, a ja rozejrzę się za czymś na ognisko.

Zgrabiałymi rękami nagarnął śniegu, robiąc coś w rodzaju wejścia do ich zaimprovizowanej kryjówki.

Potem usiadł na pobliskim kamieniu, opróżnił kieszenie ze wszystkiego, co posiadał. Nie było tego wiele: dwa naboje, które mu pozostały z tych kilku, które wziął wybiegając z domu, szwajcarski

wojskowy nóż z wieloma teraz zupełnie niepotrzebnymi bajerami, nigdy nie użyty zestaw pierwszej pomocy w razie ukąszenia żmii, pojemniczek z olejem do strzelby, topograficzna mapa odległego rejonu Montany, gwizdek na dzikie kaczki, kompas, pudełko sztormowych zapalek, pokryty białym nalotem stary batonik, dziesięciodolarowy banknot. Zostawił tylko zapalki, mapę i banknot, resztę rzeczy schował z powrotem. Przy batoniku zawahał się, poczuł dziki głód, ale odłożył go na czarną godzinę.

Kiedy naznosił drzewa na ognisko, ułożył stos z połamanych gałęzi uschniętej brzozy, podłożył mapę i banknot. Nagle stanął mu w pamięci obraz Holly, kiedy tamtej nocy, rozpalając ogień, była pokłony na cztery strony świata, wzywając duchy i prosząc je o pomoc.

Zrobił teraz to samo. Przecież potrzebna mu była pomoc, nieważne skąd.

Pierwsze gałązki zajęły się płomieniem. Drewnienka syczały cicho, kiedy spadały na nie białe płatki. Skye znów przywołał obraz Holly. Bujne czarne włosy, barwna spódnica otulająca jej wąskie biodra i smukłe nogi, rozmarzone oczy, miękkie usta. Niemal słyszał jej śpiew. Odważna i prawa, roześmiana, zdolna do prawdziwej miłości. A jednak nie potrafiła uwolnić się od prześladowającej ją przeszłości, pokonać lęków. Przecież musi być jakiś sposób, by jej dopomóc, pomyślał z rozpaczą Skye.

Możesz zrezygnować z polowań, usłyszał jakiś podszept.

To śmieszne, zaoponował. Poza tym poluję przez całe życie.

Ale krzywdzisz i zabijasz. Siedzisz tu i rozpaczasz nad swoim psem, ale nie wylejesz nawet jednej łzy nad zamordowanym

ptakiem.

Nie chodzi mi o zabijanie. Polowanie, tropienie, powrót do zapomnianych odwiecznych rytuałów - to daje mi radość. To dokładnie to samo, co dla Holly obrzęd palenia ognia, tańce i śpiewy. Ale ceną jest życie niewinnych stworzeń. Czasami, w imię miłości, trzeba zdobyć się na poświęcenie.

Być może. Ale czy nawet wtedy można przestać być takim, jakim się jest?

Wzdrygnął się. Mimo ciepła bijącego od ognia było mu coraz zimniej. To zły znak. Ogień i to schronienie to jeszcze za mało. Na wskroś przenikał go chłód.

Do ochrony przed zimnem miał tylko kurtkę, a pies tylko futro. Nocą przy tej pogodzie to nie wystarczy.

Jeśli chcą przeżyć, musi ulepszyć kryjówkę, może wykopać jamę w śniegu, który tak dobrze chroni przed chłodem. To dobry pomysł, ale tak mu zimno, jest taki zmęczony. Może jeśli się trochę zdrzemnie i odzyska siły, łatwiej zabierze się do pracy... Tylko kilka minut.

Nie powinien tego robić, wiadomo przecież, ale...

Wilk czał się w cieniu na skraju niewielkiej polanki.

Wiatr niósł podniecający zapach krwi. Mokry, ciężki śnieg odebrał mu ochotę do polowania, ale ten zapach na nowo go podniecił. Minęło już kilka godzin, odkąd jadł, a zwierzęta, które zwykle padały jego łupem, teraz skryły się głęboko.

Ostrożnie podkraśl się bliżej. Otrząsnął się ze wstrętem, kiedy wiatr przyniósł przykry zapach dymu.

Bał się dymu i ognia, który był jego przyczyną.

Wiedział, że ten otoczony kręgiem z kamieni ogień zwykle miał związek z dwunożnymi istotami, które wzbudzały w nim jeszcze większy strach.

Ale nauczył się też, że te istoty często mają w pobliżu ognia jedzenie, które łatwiej porwać, niż upolować sarnę. Nie jest tak dobre jak ciepłe, świeżo zabite i ociekające krwią mięso, ale teraz było mu zimno i musiał coś zjeść, by zachować siłę.

Zapach krwi był coraz wyraźniejszy. Żółte oczy przebijające mrok dostrzegły ranne zwierzę, ukryte w zagłębieniu pod zwalonym drzewem. Duże zwierzę, większe od tych, które odważał się atakować. Zwykle z tych walk wychodził zwycięsko. Tym razem powinno mu to przyjść bez trudu. Zwierzę było ranne.

Wiatr przyniósł jakiś nowy zapach. Wilk zatrzymał się, niewiele brakowało, by uciekł w popłochu. Pod drzewem było jeszcze duże dwunożne stworzenie. Nie poruszało się, może też było ranne? Na pewno osłabione, czuł to. Mniej niebezpieczne niż zazwyczaj. Może wcale nie było groźne.

Wilk znieruchomiał, patrzył tylko i czekał. Dobry myśliwy potrafi być cierpliwy.

Barny poruszył się niespokojnie. Jego głośne skomlenie w jednej chwili obudziło Skye'a. O Boże, jak niewiele brakowało, przeraził się nie na żarty. Co się ze mną dzieje?

Uważnie popatrzył na psa. Tym razem to nie był jęk bólu, raczej ostrzeżenie i strach. Barny wysoko uniósł głowę, postawił uszy. Czyżby coś usłyszał? A może był taki zmyślny, że obudził go, kiedy zobaczył, że jego pan zasnął?

Zamieć nieco osłabła. Może w ogóle ustanie. Trudno było to

przewidzieć, zwłaszcza że wiatr podrywał w górę śnieg i miotał nim wokół. Mógł tylko mieć nadzieję, że wkrótce się uspokoi. Wtedy byłoby dużo łatwiej.

Podniósł się, rozprostował przemarznięte ciało.

Muszę się poruszać, poskakać, zrobić coś, żeby się rozgrzać. Obłożyć ten nasz domek liśćmi i śniegiem, tego przynajmniej tu nie brakuje.

Załadował pozostałe naboje. Może uda mu się coś ustrzelić na kolację. Był głodny. Teraz, kiedy rozpałił ogień, mógł coś przyrządzić.

Ogień powoli dogasał. Trzeba jeszcze przynieść trochę drewna. Położył strzelbę na kamieniu przy ognisku.

- Zaraz wrócę, Barny - zapewnił psa. - Idę po drzewo.

Barny zawył, spróbował się podnieść.

- Zostań - powstrzymał go Skye. - Dobry piesek.

Popilnuj obozowiska. Ja zaraz wrócę.

Barny zaczął węszyć i znów zawył.

Wilk patrzył, jak człowiek oddala się od ognia. Po chwili zniknął w zaroślach. Wilk wysunął język i oblizał wyszczerzone zęby. Ranne zwierzę wiedziało o jego obecności - skomlało, węszyło, próbowało powstać. Bało się - wilk wyczuwał to doskonale.

Teraz nadeszła pora. Dwunożnego stworzenia, którego tak się obawiał, nie było. Przyszedł czas na skok do przodu, na schwycenie zdobyczy i nasycenie się zapachem gorącego, świeżego mięsa.

Holly przedzierała się przez głębokie zaspę, walcząc z porywistym wiatrem, którego gwałtowne podmuchy zatykały jej usta. Już prawie się poddała i miała wracać do dżipa, kiedy

nieoczekiwanie poczuła zapach dymu.

Próbowała zawołać Skye'a, krzyczała na całe gardło, ale wiatr tłumiał jej słowa.

Parła przed siebie. Zapach dymu stawał się coraz bardziej intensywny, w gęstniejących ciemnościach widziała już czerwonawy odblask ognia.

- Skye! - zawołała ponownie.

Nikt nie odpowiedział, ale teraz już sama dostrzegła przygasające ognisko. Śnieżyca zaczynała się uspokajać. Była już całkiem blisko, kiedy ciszę przerwał głośny skowyt przestraszonego psa. Barny!

Znalazła ich! Nie widzieli jej ani nie słyszeli tłumionego przez wiatr wołania.

Biegiem rzuciła się przed siebie, przedzierając się przez chaszczę, jeszcze jedno wzniesienie, jeszcze tylko... Zastygła w miejscu. Tuż przed nią płonęło ognisko, za którym w głębokim wykrocie ktoś urządził sobie prowizoryczne schronienie. Skye'a nigdzie nie było. Ale tuż przed wykrotem stał groźnie warcząc zdziczały pies, w każdej chwili gotowy do ataku... wcale nie ranny... i to nie był pies...

Tuż przed nią szczyrzył zęby potężny, szary, wygłodniały wilk.

A więc odnalazła ich. Ale drapieżny łowca był pierwszy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Skye! - wykrzyknęła Holly, ale porywisty wiatr stłumił jej krzyk.

Wilk usłyszał coś albo poczuł jej zapach, bo odwrócił w jej

stronę łeb i popatrzył żółtymi ślepiami.

Upuściła trzymany na plecach węzeł z rzeczami i znieruchomiała. Usłyszała głuchy pomruk. W tej samej chwili dostrzegła, że Barny nieporadnie zaczął podnosić się na legowisku. Zawarczał groźnie, zwracając w ten sposób uwagę wilka na siebie. Niezręcznie wygramolił się na zewnątrz i wycofał w drugą stronę, odciągając drapieżnika od bezbronnej Holly. Ciągłe warcząc, zatrzymał się za ogniskiem. Był ranny, ale mimo to próbował ją ocalić.

Jego zamysł się udał. Zerkając za siebie, wilk, ostrożnie obchodząc ogień, zaczął zbliżać się do psa, zostawiając Holly w spokoju.

Nieoczekiwanie stanął jej przed oczami obraz ukochanej Dusty. Wiele lat temu inna bestia groziła jej ulubienicy torturami i śmiercią. W tej samej chwili spostrzegła strzelbę leżącą na płaskim kamieniu obok ogniska. Nie mogła oderwać od niej wzroku.

Rzuciła się przed siebie, błyskawicznie pochwyciła broń, złamała ją i upewniwszy się, że jest załadowana, wprawnym, wyuczonym od dziecka gestem uniosła ją do strzału. Jej trwający mgnienie ruch natychmiast przyciągnął uwagę wilka. Cofnął się nieco i przysiadł, ale nie uciekał. Barny przesunął się w drugą stronę, schodząc z linii strzału.

Wycelowwała w łapy drapieżnika. Mogła go tylko przestraszyć, jedynie to mogła działać. Śrut mógł wilka zranić, ale nie zabić.

Nacisnęła spust. Rozległ się huk wystrzału, wilk podskoczył wysoko, potem, podwinąwszy pod siebie ogon, rzucił się w tył i zniknął w zaroślach. Holly nadal nie opuszczała broni. Wystrzeliła

drugi nabój, żeby ostatecznie zniechęcić wilka do powrotu.

- Niezły strzał - usłyszała za sobą.

Obróciła się. Tuż za nią stał obładowany naręczem drzewa Skye. Zamrugał białymi od płatków śniegu rzęsami, jakby nie wierzył własnym oczom. Kiedy po chwili Holly z westchnieniem ulgi odłożyła strzelbę i otworzyła ramiona, Skye, ciągle jeszcze zdumiony, rzucił trzymane gałęzie i postąpił ku niej.

Jakąś godzinę później odnalazła ich prowadzona przez Jake'a kilkusobowa grupa ratowników. Dzięki informacjom Holly bez trudu trafili do dżipa, a potem ruszyli jej śladem. Holly nie posiadała się z radości na ich widok, ale Skye nie był szczególnie zachwycony.

Właściwie wyglądał na rozczarowanego.

- Mieliśmy tu już całkiem niezłe ognisko, uszczelnione przed zimnem schronienie. Holly opatrzyła Barny'emu ranę jakimiś ziołowymi środkami i znalazła pod śniegiem jadalne grzyby. Zapowiadał się całkiem przyjemny wieczór. Pod ciepłymi kocami, w powietrzu pełnym zapachu sosnowych gałęzi, przeżylibyśmy wspaniałą noc. Ale nic z tego, musieliście nam to udaremnić, chłopcy.

- Będiesz mieć cudowną noc - oświadczył z przekonaniem Jake - ale w szpitalu.

Na szczęście okazało się, że nie było to konieczne.

Nawet Barny'emu, po opatrzeniu, zszyciu i unieruchomieniu gipsem łapy, pozwolono wracać do domu. Żadne z nich nawet się nie przeziębiło, a perspektywa gorącej ziołowej herbaty i odpoczynku pod ciepłą kołdrą była nieprawdopodobnie kusząca. Niestety, musieli z tym trochę poczekać, bo ciekawi szczegółów ich eskapady

ratownicy zostawili ich samych dopiero przed północą.

Wpatrzeni w rozpalony przez Jake'a ogień spoczywali na kanapie w salonie. Skye pochylił się ku siedzącej w drugim rogu Holly i wyciągnął ramię wzdłuż oparcia.

- Przysuń się trochę bliżej - poprosił.

Holly spojrzała na niego z determinacją.

- Wiesz, zastrzeliłabym go. Gdyby nie uciekł, gdyby nadal próbował zaatakować Barny'ego. Zastrzeliłabym go z zimną krwią.

Skye słuchał w milczeniu, nie odzywał się ani słowem.

- Nie przypuszczałam, że jest we mnie coś takiego - ciągnęła dalej Holly. - To był impuls. Automatyczna reakcja na sygnał. Podniosłam broń, żeby bronić Barny'ego.

- Nie ma w tym nic złego, Holly - zapewnił ją Skye.

- Mówiąc szczerze, w takiej sytuacji jest to najbardziej właściwa reakcja, jaką potrafię sobie wyobrazić.

- Nie mogę przestać myśleć, co by się stało, gdybyś to ty był ranny i nie mógł się bronić, i wilk by ciebie zaatakował.

- Byłaby w tym pewna sprawiedliwość - uśmiechnął się Skye. - Role by się odwróciły.

- Rozwaliłabym mu łeb.

- Tym śrutem byłoby trudno to zrobić - zaczął Skye, ale natychmiast spoważniał, kiedy zobaczył wyraz jej twarzy. Nagle dotarło do niego znaczenie tego, co powiedziała. Przełknął ślinę.

- Holly, czy próbujesz dać mi coś do zrozumienia?

Nie patrząc na niego, skinęła głową, utkwiała wzrok w tańczącym w kominku ogniu. Ciemne włosy częściowo osłaniały jej twarz.

Skye pochylił się ku niej, ujął jej nadgarstki i przyciągnął dziewczynę do siebie. Holly odgarnęła włosy i uśmiechnęła się do niego tak promiennie, aż zapało mu dech.

- Więc powiedz mi to. Bez względu na to, co masz zamiar powiedzieć, chciałbym to usłyszeć.

- Kocham cię, Skye.

Odchylił się w tył.

- Mogłabyś to powtórzyć?

Holly uniosła brwi, przysunęła się nieco do niego.

- Kocham cię.

- Kochasz mnie?

- Tak.

- Tego niedobrego myśliwego?

- Tak.

- Nie chcącego się zmienić, niepoprawnego mordercę ptaszków i zwierzątek?

- Tak.

Skye westchnął głośno.

- Nadal wybierasz się do Salt Lake City?

- Nie.

- Nadal chcesz się rozwieść?

- Nie.

- Chcesz zostać tutaj, ze mną, mieszkać na ziemi twojego dziadka?

- Tak.

- Na zawsze?

- Tak.

- Przez całe życie, dopóki nas śmierć nie rozdzieli?

- Uhm. Tak.

- A przeszłość? - Skye zamknął oczy. - Co z Willy'm Hessem?

- On nie żyje. Już naprawdę, ostatecznie nie żyje.

- Holly zagryzła wargi, szukając właściwych słów. - To jest tak, jakby ten wilk był jego uosobieniem. Drapieżna, bezlitosna bestia, atakująca słabych i niezdolnych do obrony. Nie czułam żadnej skruchy, kiedy do niego strzelałam. - Głos jej złagodniał. - Lubię wilki.

Wiedziałaś o tym, że dobierają się w pary na całe życie?

To wspaniałe zwierzęta.

- To prawda - zgodził się Skye. - Nie róbmy im krzywdy, porównując je z Willym.

- Masz rację. Ten wilk robił tylko to, co podpowiadał mu głos natury i tylko dlatego, by przeżyć.

To, co robił Willy, było z nią sprzeczne, złe i chore.

- Na chwilę umilkła. - Wiesz, wydaje mi się, że zawsze czułam się w pewien sposób winna. Może dlatego, że to był mój brat. Zastanawiałam się, czy mogłabym mu jakoś pomóc. Bywały chwile, kiedy szukałam winy w sobie... Zadręczałam się myślą, że może kiedyś w dzieciństwie nieświadomie powiedziałam albo zrobiłam coś, co wpłynęło na niego i zepchnęło go na złą drogę. Chociaż teraz widzę, że to był wyłącznie jego wybór i tylko on ponosił za to odpowiedzialność.

Skończył tak, jak na to zasłużył.

Wzięła głęboki oddech.

- Przez tyle czasu czułam się ofiarą przestępstwa.

Jedynie w lesie, zbierając zioła i tańcząc przy świętym ogniu, odzyskiwałam siłę, znów byłam taka jak dawniej. Ale kiedy zobaczyłam Barny'ego w niebezpieczeństwie, zrozumiałam, że muszę działać, że nagle się zmieniłam. Teraz czuję, że jestem wyzwolona, że duch Willy'ego już nie ma do mnie dostępu. I tak już będzie zawsze.

- Chodź do mnie - poprosił Skye.

Przez chwilę tulił ją do siebie, potem odchylił się lekko.

- Dajmy już spokój Willy'emu. Teraz pomyśl o swoim mężu. Popatrz na mnie. Przyjrzyj się dokładnie. Holly usłuchała go, z poważną miną przyglądała mu się badawczo, przechylając na bok głowę.

- I co widzisz?

Uśmiechnęła się i lekko potarła go za wąsy.

- Przystojnego, może trochę szorstkiego mężczyznę, ale ja takich lubię. To mnie pociąga.

- I co jeszcze?

- Widzę porządnego, umiającego zrozumieć innych człowieka o złotym sercu.

- To już lepiej. I co jeszcze?

- Widzę twarz myśliwego, którego kocham - dodała miękko Holly. - Twarz człowieka, z którym chcę być zawsze, nocą dzielić z nim poduszkę, a rano wspólnie jeść śniadanie. Patrzeć na niego ponad głowami naszych dzieci.

Chciał ją przygarnąć do siebie i ucałować, ale cofnęła się.

- Poczekaj, jest jeszcze coś - powiedziała, wpatrując się w niego badawczo.

- Co takiego?

- Wiesz, teraz widzę, że się myliłam. Wcale nie jesteś podobny do Willy'ego.

Przyciągnął ją stanowczym ruchem. Tym razem już się nie opierała. Delikatny, pełen czułości pocałunek przerodził się w namiętą pieszczotę.

- Poczekaj - powiedział nagle Skye.

- Co się stało?

Podniósł się z kanapy, pomógł jej wstać. Myślała, że chce zabrać ją na górę, ale zamiast tego Skye delikatnie popchnął ją bliżej kominka. Dorzucił do ognia kilka polan, nacisnął guzik magnetofonu. Rozległy się dźwięki indiańskiej muzyki, przy której kiedyś tańczyli przy ognisku.

Podszedł do niej.

- I co, moja czarownico, zatańczymy?

- Bardzo chętnie.

- Czy najpierw zgodzisz się coś dla mnie zrobić?

- Co tylko zechcesz.

Skye uśmiechnął się.

- Chciałbym, żebyś zatańczyła jak prawdziwa boginka, nago. Myślę, że tak właśnie to wygląda.

- Tylko wtedy - odrzekła powoli Holly - jeśli ma partnera, z którym chce się dzielić energią. Ale ten boski małżonek też musi być nagi.

- Już jest - powiedział Skye, ściągając z siebie sweter i rozpinając koszulę. - To niewielka cena za przyjemność zobaczenia mojej bogini w pełnej krasie.

Nic nie może się równać z pięknem jego cudownego, pełnego

wdzięku, męskiego ciała, pomyślała Holly, kiedy Skye pospiesznie zrzucił ubranie i wprawnymi ruchami pomógł jej oswobodzić się z odzienia.

Zachwyconymi oczami patrzył na jej oświetlone blaskiem ognia kształty. Zawirowała w tańcu, nie odrywając od niego uważnego, dostrzegającego wszystkie szczegóły spojrzenia. Przebiegło jej przez myśl tajemnicze, symboliczne znaczenie pogańskich obrzędów, magiczne przesłanie związku mężczyzny i kobiety. Powolny początkowo rytm zaczynał przyspieszać, coraz szybsze ruchy rozgrzewały tancerzy, na skórze pojawiły się pierwsze krople potu. Rozpuszczone włosy Holly wirowały w tańcu, przepełniało ich coraz gorętsze uniesienie.

Holly oddychała głęboko, skoncentrowana na własnych odczuciach, w skupieniu wzywając życiodajną energię i pobierając ożywczą moc, poruszała się coraz szybciej i szybciej.

Kiedy niespodzianie wpadli na siebie, ze śmiechem osunęli się na podłogę, na szorstki indiański dywanik.

Poczuła na sobie ciężar Skye'a, cudowny dotyk rąk, pieszczoty i pocałunki.

Kochał ją z dziką, pierwotną namiętnością i tak właśnie miało być. To była miłość pierwszych ludzi, która stworzyła niebo i ziemię. Holly dopiero teraz wszystko zrozumiała. Jak mogła choć przez chwilę w to wątpić? Ten mężczyzna to jej kochanek na całą wieczność. Mistyczny, duchowy przyjaciel.

Dużo później, kiedy objęci leżeli nago na kanapie i wpatrywali się w płonący ogień, Skye odchylił lekko głowę i popatrzył na nią uważnie.

- Dlaczego się tak uśmiechasz?

- Myślałam o dziadku. Zastanawiałam się, co by powiedział, gdyby nas teraz zobaczył.

- Chyba by się ubawił.

- Wiesz, to dziwne. Zwykle mylił się w ocenie ludzi, ale ciebie oszacował bezbłędnie. Tak samo świetnie obmyślił nasze małżeństwo.

- Powiem tylko, że nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, choć spędziliśmy razem tyle czasu na polowaniu i łowieniu ryb, że stary Tom uszczęśliwił mnie żoną.

- Ale chyba jesteś zadowolony, że zachowałeś się jak człowiek honoru i dotrzymałeś złożonej mu przysięgi?

- A czy wyglądam na niezadowolonego? - uśmiechnął się Skye.

- Jesteś nagi i wyglądasz nieprzyzwoicie, szeryfie Rawlins.

- Ach tak? Popatrz niżej.

- Chyba żartujesz.

- Myślę, że powinniśmy iść na górę do łóżka, pani Rawlins. Na wszelki wypadek wolę znaleźć się w bardziej komfortowych warunkach, kiedy zechcę zrobić użytek ze swojej broni.

Holly zerwała się z kanapy i puściła pędem po schodach.

- Ale najpierw musisz mnie złapać! - zawołała przez ramię. - I tym razem nie licz na pomoc Barny'ego! Teraz tak łatwo ci się nie uda.

Skye pobiegł za nią.

- Dla myśliwego nie ma nic bardziej podniecającego! - Więc mnie złap!

- Już prawie cię mam, moja ognista panno, moja nocna

boginko.

Poprowadziła go prosto do łóżka. To właśnie tu życzyłbym sobie spędzić wszystkie noce przez następne pięćdziesiąt lat, przebiegło mu przez myśl.

- Kocham cię, Skye - wyszeptała Holly.
- Bądź błogosławiona - odpowiedział cicho.